Janusz Żurakowski. Zapiski z łąki.



Janusz Żurakowski na swojej łące, fot. M. Kusiba.

Marek Kusiba *(Toronto, Kanada)*

Z wysokości trzech kilometrów łąka na skraju ontaryjskiego jeziora Kamaniskeg wygląda jak znaczek pocztowy przyklejony do zielonej koperty. Łąkę wypatrzył pilot doświadczalny z kabiny testowanego supersonicznego myśliwca przechwytującego, którego zadaniem miała być obrona Ameryki Północnej przed rosyjskimi bombowcami. Gdy w 1959 roku zlikwidowano produkcję najlepszego samolotu świata tamtej doby – na własne życzenie rządu kanadyjskiego – pilot wraz z rodziną osiedlił się na upatrzonej łące. Wkrótce przyjechali inni, łąka zakwitła namiotami, powstała mała ojczyzna Polaków. Nazwisko pilota: Janusz Żurakowski. Nazwa myśliwca: CF-105 Avro Arrow. Adres małej ojczyzny: „Kartuzy Lodge", 1 Arrow Drive, Barry's Bay, ontaryjskie Kaszuby.

20 lutego minęło 60 lat od dnia, który zapisał się czarną kartą w historii Kanady, a w życiu Janusza Żurakowskiego wyznaczył cezurę: zakończył życie lotnicze, a rozpoczął – osadnicze. W tym roku mija także 105 rocznica urodzin i 15 rocznica śmierci pułkownika Żurakowskiego – we własnym łóżku, w sędziwym wieku lat 89. Popularny w Kanadzie „Żura" spędził łącznie w powietrzu blisko trzy lata, będąc zawsze wierny zasadzie, że są dobrzy lotnicy i… starzy lotnicy.

Ziele na kraterze, mała świnka i Merian Cooper

Pana Janusza znałem blisko dwadzieścia lat, rozmawialiśmy

przeważnie o lataniu, jako że pochodzę z lotniczej rodziny. Z panią Anną Danielską-Żurakowską rozmawialiśmy z kolei o literaturze. A zaczęło się wszystko od… Melchiora Wańkowicza: pani Anna dobyła kiedyś z szuflady pożółkłe listy i *Ziele na kraterze* z dedykacją autora, odwiedzającego Żurakowskich 7 czerwca 1954 roku:

> Państwu Januszowstwu Żurakowskim z życzeniami, aby ich przemiłe „ziele" nie wzrastało na żadnym już – kraterze.

Anna Danielska-Żurakowska pisała wiersze, studiowała romanistykę, była też dziennikarką radiową. Razem z Julią Hartwig i Anną Kamieńską, jej szkolnymi koleżankami, pisały w czasie okupacji sztukę dla rannych żołnierzy. Potem drogi ich się rozeszły. Danielska uciekła do Francji, by poślubić miłość swej wczesnej młodości, oficera lotnictwa, jednego z bohaterów bitwy o Anglię i lotnictwa brytyjskiego po wojnie, gdy bił międzynarodowe rekordy i wymyślał figury akrobacyjne, będące dotąd nie do pomyślenia. O Januszu Żurakowskim wiedziałem (prawie) wszystko, pytałem więc o sztukę, ale pani Anna wolała mi opowiedzieć o… małej śwince, którą widziała u chłopa, gdy ją gonił dookoła podwórka bez wyraźnego powodu. Zapytała wreszcie, po co to robi? A on na to, że Niemcy kazali mu ją z rana odstawić na punkt i że on chce im ją oddać nieco chudszą…

Z panią Anną i panem Januszem rozmawialiśmy także o Macieju Słomczyńskim, kongenialnym tłumaczu *Ulissesa*, którego ojciec, Amerykanin Merian Cooper był współtwórcą Eskadry Kościuszkowskiej i wraz z 20 amerykańskimi lotnikami walczył ramię w ramię, a raczej skrzydło w skrzydło z Polakami w wojnie polsko-bolszewickiej. Późniejszy Dywizjon 303, „Kościuszkowski", godny spadkobierca dokonań zaczątku „Legionu Amerykańskiego" w lotnictwie II RP, okazał się najlepszym dywizjonem Bitwy o Anglię, w której walczyli także mieszkający tuż obok siebie na ontaryjskich Kaszubach Janusz Żurakowski oraz Kazimierz Szrajer, który zaczynał od roli mechanika w Dywizjonie 303, a potem w Eskadrze Specjalnego Przeznaczenia latał w „mostach powietrznych" do okupowanej Polski, podczas blokady Berlina i do głodującej Biafry.



Fot. M. Kusiba.



Arrow Drive – dróżka dojazdowa do Kartuzy Lodge, fot. M. Kusiba.

Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału…

Historia Janusza Żurakowskiego bierze swój początek na kresach

dawnej Rzeczpospolitej w roku wybuchu pierwszej wojny światowej: urodził się 12 września 1914 roku w Ryżawce niedaleko Kijowa. Jego ojciec ukończył medycynę i był lekarzem fabrycznego osiedla tamtejszej cukrowni. Po wybuchu rewolucji w Rosji rodzina Żurakowskich herbu Sas straciła dobra dziedziczne Żytniki niedaleko Humania. Gdy wschodnie granice Polski ustalono w Traktacie Ryskim, Żurakowscy w marcu roku 1921 postanowili przedostać się do odrodzonej z popiołów Rzeczpospolitej.

Podróż trwała kilka tygodni. Wozem konnym, z pięciorgiem dzieci. Mały Janusz miał siedem lat. Przekradali się nocą. Przez granicę przeprowadził ich kurier-przewodnik. Dotarli do Garwolina, gdzie ojciec Janusza otrzymał posadę lekarza powiatowego. Później, w roku 1927 rodzina przeniosła się do Lublina. Jan trafił do gimnazjum im. Stanisława Staszica. – Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału – mówił – za to, za przykładem starszego brata Bronisława, który był entuzjastą lotnictwa i budował szybowiec, dużo czasu poświęcałem budowie modeli latających.

Pierwszy w życiu lot odbył w roku 1929, w Lubelskim Klubie Lotniczym. Lot był nagrodą za pierwsze miejsce w wojewódzkim konkursie modeli latających. Ta krótka chwila w powietrzu związała Żurakowskiego z lotnictwem na całe życie. Pomysł zostania lotnikiem sprowadził mu na głowę gwałtowny sprzeciw

ojca, który zadbał o to, żeby koledzy-lekarze z komisji w Centrum Badań Lotniczych w Warszawie „odwalili” 18-letniego kandydata na kurs szybowcowy. Januszowi rzekomo doskwierała „gruźlica obojczyka”.

Był wściekły, ale nie złożył broni: zapisał się na kurs i samodzielnie oderwał się od ziemi w Szkole Szybowcowej Polichno-Pińczów. Zdobył kategorie pilotażu A i B. Podczas następnych wakacji, na kolejnym obozie szybowcowym, uzyskał kategorię C. Było to już po majowej maturze. Jego brat Bronisław studiował na warszawskiej Politechnice, siostry też wybierały się do stolicy na studia. Janusz zdecydował się ulżyć finansom ojca: zgłosił się na ochotnika do wojska. Jako maturzysta miał prawo wyboru broni. Wybrał oczywiście Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie.

Lotnicze ziarna i pęknięta czaszka

Dęblińską Szkołę Orląt ukończył w roku 1937, w stopniu podporucznika pilota. Tuż po uroczystej, dziesiątej promocji, wybrał się na urlop wakacyjny na szybowisko w Pińczowie. Odbył tam piętnastogodzinny lot na szybowcu Komar, co było dużym osiągnięciem biorąc pod uwagę dość prymitywną konstrukcję szybowca i warunki latania. Startowało się wtedy bez użycia samolotów holujących, ani mechanicznych wyciągarek, za to przy pomocy dwóch lin gumowych i sześciu ludzi, którzy na komendę

„naciągaj” ruszali pędem w dół zbocza naprężając liny, a szybowiec wyskakiwał w powietrze jak z procy.

W lipcu 1938 roku podporucznik Żurakowski wybrał się na kolejny urlop do znanej już w Europie Akademii Szybowcowej w Bezmiechowej na Podkarpaciu. Akademia zasłynęła w maju owego roku, gdy jeden z jej młodych pilotów, Tadeusz Góra, po starcie z Bezmiechowej doleciał aż pod rodzinne Wilno, bijąc rekord świata długości przelotu (578 km) i zdobywając pierwszy na świecie Medal Lilienthala. A rok wcześniej Wanda Modlibowska latała nad tym bieszczadzkim szybowiskiem 24 godziny i 14 minut, bijąc rekord świata długości lotu Hanny Reitsch, zwanej „pilotką Hitlera”.

Takie lotnicze ziarna kiełkowały w duszy Żurakowskiego. I on próbował Bezmiechowej, lecz nawyki z szybkich samolotów myśliwskich o mało nie doprowadziły do tragedii. Zaraz po starcie położył szybowiec Delfin w zbyt ostry skręt, uderzając w świerk na stoku. Młody lotnik rozbił sobie głowę i z czaszką pęknietą na długości ośmiu centymetrów najpierw wydostał się z kabiny i zszedł z drzewa, a potem dowlókł się do zabudowań Akademii na szczycie góry – ale nie pamiętał, jak tego dokonał.

Zabawy w kotka i myszkę z Dornierami

Jesienią 1938 roku latał już na samolocie PZL-11 w 161 Eskadrze

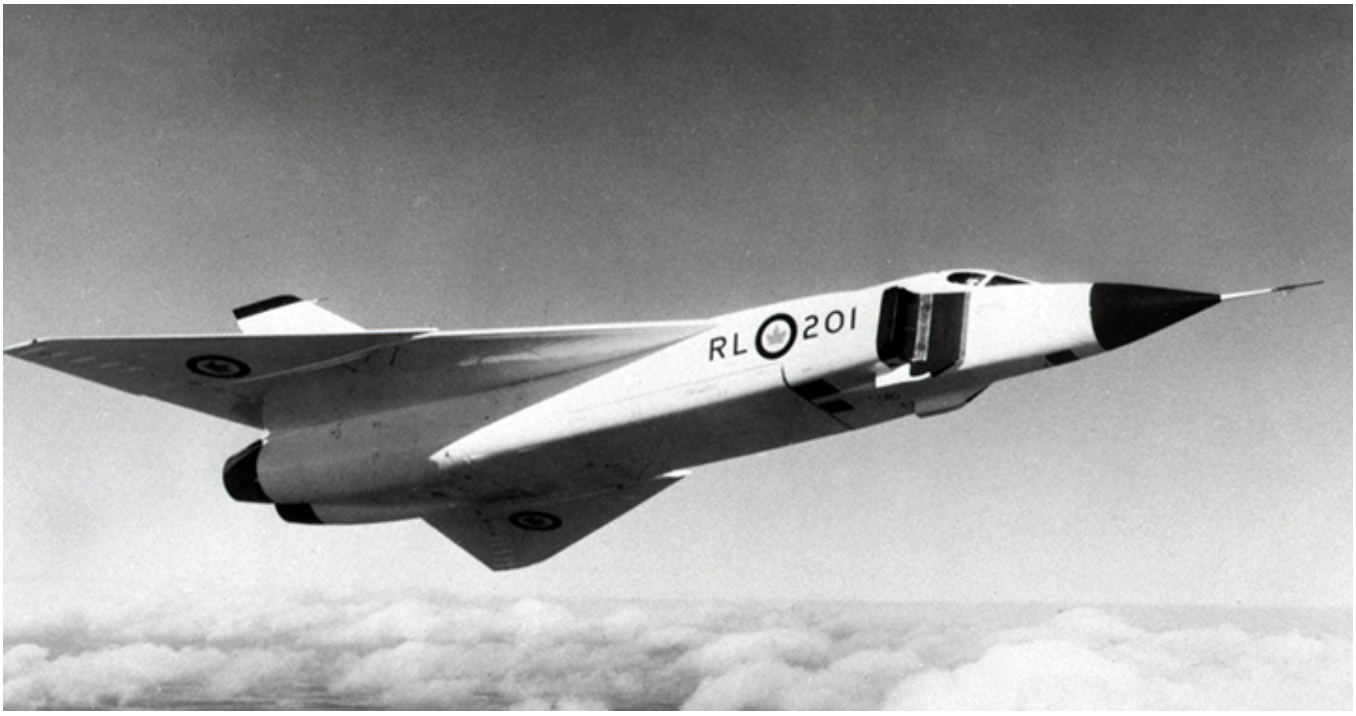
Myśliwskiej Szóstego Pułku Lotniczego we Lwowie. Głowa zagoiła się, a myśli coraz częściej zaczęła zaprzątać wojna. Został odkomenderowany ze swego Pułku do Dywizjonu Specjalizacji Myśliwskiej w Ułężu pod Dęblinem. Wojna wisiała na włosku podczas ostatniego lata tamtej epoki, które młody pilot Żurakowski spędził, jak zwykle, na lotnisku. Aż wreszcie spadła wojna na Polskę jak jastrząb z nieba.

– Wystawiliśmy w pogotowiu trzy stare „pezetelki siódemki" [PZL-7], samoloty używane do nauki strzelania – wspominał pan Janusz. W czasie jednego z nalotów na Dęblin przeszedłem swój chrzest bojowy. Mój stary samolot szkoleniowy miał małą szybkość i gdy tylko zaczynałem strzelać do bombowców, Niemcy dodawali gazu i Dorniery mi uciekały, by za chwilę zwolnić i strzelać do mnie. Wynik tej zabawy w kotka i myszkę był znikomy: za jednym bombowcem wlokła się biała smuga paliwa z przestrzelonego zbiornika, a ja miałem kilka niegroźnych dziur w skrzydle.

Gdy siedemnastego września 1939 roku pojawiły się na niebie dwusilnikowe, pękate samoloty z czerwonymi gwiazdami, pilot Żurakowski wiedział, że to początek końca. Polska nie miała żadnych szans w walce na dwa fronty. Przyszedł rozkaz ewakuacji personelu lotniczego do Rumunii, gdzie doszły lotników wieści, że Anglia wysłała dla polskich pilotów statek wyładowany myśliwcami Hurricane. Lecz Rumunia w strachu

przed Hitlerem zamknęła pilotów w obozach internowania.

Żurakowski „zmienił” zawód na „leśnik” i po wielu perypetiach udało mu się razem z grupą lotników w cywilnych ubraniach wypłynąć z portu Balcic nad Morzem Czarnym. Po tygodniu zawinęli do Bejrutu, potem odpłynęli francuskim statkiem do Marsylii. Wojna rozgorzała na dobre, a kilka tysięcy młodych lotników i personelu naziemnego z Polski oczekiwało na decyzję komisji polsko-brytyjsko-francuskiej, która w końcu zadecydowała i o losie porucznika Żurakowskiego: pod koniec stycznia 1940 roku znalazł się w Anglii.



Avro Arrow w locie, fot. z archiwum Żurakowskich.

Wstręt do angielskiej herbaty i śmietanka lotników

Anglicy z początku nie dowierzali sile ducha i lotniczego talentu młodych myśliwców z dalekiej Polski: zamierzali przeszkolić ich na bombowcach. – Wydawało nam się, że duma nie pozwala Anglikom, aby obcokrajowcy bronili ich ojczyzny – wspominał pan Janusz. Ale po upadku Francji, w walkach nad którą lotnictwo angielskie poniosło ogromne straty, schowali Brytyjczycy swoją dumę do kieszeni. W początku sierpnia 1940 roku Żurakowski, po krótkim przeszkoleniu, rozpoczął służbę w 234 Dywizjonie Myśliwskim RAF. Rozpoczęła się Bitwa o Wielką Brytanię. Żurakowski walczył w dywizjonie angielskim, ale w powietrzu były też dwa polskie dywizjony RAF – 302 i 303.

Latali na okrągło. Straty były duże, spowodowane także nieludzkim zmęczeniem. W połowie września z dwudziestu paru pilotów Dywizjonu 234 zostało mniej niż dziesięciu. Wtedy wycofano ich do Kornwalii, co nie przypadło do gustu Żurakowskiemu, który w czasie tych morderczych zmagań zdołał zestrzelić na swoim Spitfire'rze trzy Messerschmitty (plus jeden prawdopodobnie), ale i sam został zestrzelony nad wyspą Wight, co wywołało w nim przejściowy wstręt do angielskiej herbaty, gdyż w każdym domu częstowany był tradycyjną „cup of tea".

Wraz z porucznikiem Oleńskim poprosił o przesunięcie z cichej Kornwalii w bardziej aktywny rejon. Chcieli się dalej bić. Trafili do 609 Dywizjonu RAF w pobliżu Salisbury. Walczyli do końca Bitwy, która powoli wygasała. Dywizjon został przeniesiony w

rejon Londynu, do osłony konwojów i pierwszych brytyjskich wypraw bombowych nad Niemcy. Tymczasem polskie Dowództwo Lotnictwa w Anglii zaczęło tworzyć nowe jednostki, wyciągając polskich pilotów z angielskich dywizjonów. W ten sposób w marcu 1941 roku Żurakowski został instruktorem wyszkolenia myśliwców, a w grudniu znalazł się w 315 polskim dywizjonie „Dęblińskim". W kwietniu 1942 roku został dowódcą eskadry w 306-tym, a w parę miesięcy później dowódcą 316 Dywizjonu „Warszawskiego". Wreszcie w lipcu 1942 roku objął funkcję zastępcy dowódcy Skrzydła w Northolt; prowadził skrzydło w czterdziestu lotach bojowych. Osłaniali amerykańskie „latające fortece" w wyprawach nad Niemcy.

„Zura" – jak zwali go brytyjscy koledzy – nie nadawał się do siedzenia za biurkiem. A taką rolę wyznaczyło mu polskie dowództwo, przenosząc go w roku 1943 do Dowództwa Lotnictwa Myśliwskiego na stanowisko oficera „taktyczno-treningowego". Gdy więc dowiedział się, że w Imperialnej Szkole Pilotów Doświadczalnych było jedno miejsce dla Polaka – zgłosił się natychmiast. W marcu 1944 roku rozpoczął roczny kurs, razem ze śmietanką lotników z całego świata. Latał na wszystkim – od najmniejszych samolotów do bombowców. Zrobił też kilka lotów z lotniskowca, dzięki skierowaniu na pierwsze loty doświadczalne w Dywizjonie Morskim. Wreszcie trafił do dywizjonu prób samolotów myśliwskich. Usiadł za sterami pierwszych brytyjskich odrzutowców Vampire i Meteor.

Gdy kończyła się wojna, Żurakowski miał już oblatanych czterdzieści różnych typów samolotów; był znakomitym pilotem doświadczalnym, czego dowiódł ponad wszelką wątpliwość w lipcu 1945 roku, demonstrując odrzutowiec Vampire. Prasa lotnicza piała, zachwytom nie było końca: „The most brilliant exhibition probably ever seen" (prawdopodobnie najdoskonalszy pokaz widziany kiedykolwiek). W październiku na odrzutowym Hornecie zademonstrował pętlę z wyłączonymi obydwoma silnikami, by potem zadziwić widzów pełną akrobacją z jednym tylko pracującym silnikiem.

Owocem tych wyczynów była nie tylko sława, ale i od roku 1947 praca pilota doświadczalnego w angielskiej firmie lotniczej Gloster Aircraft, produkującej myśliwce Meteor i Javelin, które należało udoskonalać. „Zura" to potrafił. Przyszły więc kolejne sukcesy. Do największych zalicza jednak poślubienie swojej polskiej narzeczonej, Anny Danielskiej. Ich rodziny były przed wojną ze sobą zaprzyjaźnione, ojcowie-lekarze pracowali razem. Pan Janusz próbował sprowadzić panią Annę do Anglii zaraz po wojnie, ale nie było to łatwe. Kolejne próby kończyły się fiaskiem. W końcu jednak udało się jej wyjechać ze stalinowskiej Polski – po wstawiennictwie Jarosława Iwaszkiewicza. Ślub odbył się 13 maja 1948 roku w Paryżu.



Janusz Żurakowski na ramionach kolegów po pierwszym locie Avro Arrow, 25 marca 1958 r.

„Niezrównany pilot demonstracyjny” i pionowe „koła od wozu”

W osiem miesięcy później, w styczniu 1949 roku Żurakowski osiągnął siedem i pół mili wysokości lotu w siedem i pół minuty, co było rekordem świata, a w rok później ustanowił międzynarodowy rekord szybkości na trasie Londyn-Kopenhaga-Londyn i uzyskał miano „niezrównanego pilota demonstracyjnego”, jak pisał tygodnik „Flight” po pokazach w Belgii. Wreszcie na pokazach w Farnborough w roku 1951

zademonstrował lotniczemu światu pierwszą od lat dwudziestu nową figurę akrobacyjną, nazwaną przez francuski „Aviation Magazine" „Zurabatic Cartwheel". – Zanotujmy, że akrobacja po angielsku jest „aerobatics" – pisali Francuzi – ponieważ Żurakowski ją wykonał, nazwa będzie „Zurabatics". „Zura" wyciągał swój Meteor ostro w górę, zadławiał jeden silnik i z drugim na pełnej mocy wykonywał półtora pionowego „koła od wozu".

Wieści o wyczynach Żurakowskiego dotarły i za Ocean. Zakłady lotnicze A. V. Roe (zwane też Avro Canada) w Malton pod Toronto poszukiwały takiego właśnie pilota. Żurakowski został ich głównym pilotem doświadczalnym (Chief Test Pilot). W roku 1952 przeniósł się z rodziną (w Anglii urodziło się Żurakowskim dwóch synów, Jurek i Marek) do Kanady.

Jeszcze tego samego roku przekroczył barierę dźwięku na samolocie pościgowym CF-100 o prostych skrzydłach, „co narobiło trochę szumu, gdyż fachowcy nie wierzyli, że było to na tym samolocie możliwe" – jak skromnie wspominał pan Janusz. Fachowcy wierzyli za to w następcę CF-100 – myśliwiec przechwytujący CF-105 Avro Arrow, który 25 marca 1958 roku Janusz Żurakowski oblatał. 14 września 1958 roku, w swoim dwudziestym drugim, ostatnim locie na Arrow, Żurakowski osiągnął szybkość Mach 1.86 (czyli prawie podwójną prędkość dźwięku). Lecz pomimo znakomitych osiągów i właściwości,

wspaniałych prognoz i niezwykłych perspektyw dla rozwoju przemysłu lotniczego w Kanadzie, produkcja samolotu została brutalnie wstrzymana przez konserwatywny rząd Johna Diefenbakera, który skazał tym samym zakłady A.V. Roe na zamknięcie.

Złamana Strzała i duch narodu

Ślady po złamanej Strzale zacierano z niezwykłą dokładnością, jak po przestępstwie. Na tereny zakładów Avro wkroczyło wojsko, by przypilnować pocięcia palnikami (sic!) istniejących już samolotów (łącznie 37 w różnych stadiach produkcji) oraz kanadyjskich silników Orenda, jak również zniszczenia całej dokumentacji. Samolot CF-105 Arrow był najwspanialszym technicznym osiągnięciem Kanadyjczyków w dziejach tego kraju. Był poza tym dzieckiem kochanym przez kanadyjską społeczność. Miłością do Arrow przepełnione były relacje prasowe z tamtych lat, późniejsze książki oraz filmy, zarówno dokumentalne, jak i para-dokumentalny, dwuodcinkowy film telewizji CBC.



Arrow latał jak ptak…, fot. z archiwum Żurakowskich.

Los Avro Arrow zdaje się obchodzić wszystkich. Krytycy decyzji twierdzą, że na życzenie Amerykanów, którzy bali się tak silnej konkurencji w przemyśle lotniczym po północnej stronie granicy, dokonano trwałego sabotażu na przyszłości Kanady. W wielu komentarzach od 60 lat słychać powracający motyw o duchu narodu, który wtedy, w tamten „czarny piątek” 20 lutego 1959 roku, uległ świadomemu zniszczeniu. Od swych narodzin na deskach kreślarskich do zniszczenia na terenie zakładów w Malton pod Toronto, myśliwiec CF-105 Arrow dawał liczne dowody swej wyjątkowości. Był samolotem rewelacyjnym, w opinii dwóch polskich oblatywaczy, Janusza Żurakowskiego i Władysława „Spuda” Potockiego. Przy pracy nad nim skupiono

najtęższe umysły konstruktorskie tamtych czasów. Kierował tym zespołem Jim Floyd o renomie konstruktora bijącego rekordy myśliwca CF-100 oraz pierwszego na świecie odrzutowca pasażerskiego Avro-Jetliner. Podobnie jak Arrow był to samolot w pełni kanadyjski, bardzo udany i zupełnie niedoceniony, o wiele lepszy od brytyjskiego Cometa, który, nie dopracowany technicznie, rozlatywał się w powietrzu. W 1949 roku wyprodukowano jeden egzemplarz Jetlinera, na więcej rząd kanadyjski nie złożył zamówień; w 1957 roku pocięto go na żyletki – zamiast postawić w muzeum. Warto dodać, że po likwidacji programu Arrow Floyd przeniósł do Anglii i razem z Francuzami skonstruował Concorde'a.

Arrow od pierwszych lotów wyrównywał rachunki zainwestowanych w nim nadziei. Jak powiedział Janusz Żurakowski, Arrow latał jak ptak, z każdym lotem wyżej i szybciej. Już w trakcie lotów próbnych stał się światową sensacją i został okrzyknięty najlepszą konstrukcją lotniczą doby powojennej, która technologicznie wyprzedzała wszystkie podobne konstrukcje o lat co najmniej dwadzieścia – tyle zabrało Rosjanom dorównanie Kanadyjczykom. Dopiero ich Mig-29 dogonił Avro Arrow osiągami, ale przegrał z kretesem w dziedzinie aerodynamiki, czystości linii i „kosmicznego" wyglądu, zapowiadającego wielkie możliwości rozwojowe tej konstrukcji.

Już po likwidacji programu inżynierowie zwolnieni z Avro Canada

– i dosłownie z dnia na dzień zatrudnieni przez Amerykanów, w tym wielu Polaków – współbudowali amerykańską potęgę kosmiczną, łącznie z lądownikiem księżycowym, wahadłowcem Columbia oraz szkoleniem pierwszych astronautów. Rząd kanadyjski zamykając program Arrow nie tylko odbierał pracę piętnastu tysiącom ludzi, zatrudnionym w zakładach Avro i Orenda (silniki odrzutowe) oraz tysiącom współpracujących kontraktorów, odebrał też Kanadyjczykom poczucie własnej wartości. Gdy złamano Strzałę, Janusz Żurakowski powiedział: „To tak prawie jakby nasz duch, jako narodu, umarł". Nieco później napisał we wstępie do książki *Shutting Down the National Dream*:

> Rządy i palniki mogą zniszczyć samolot, ale nie są w stanie zniszczyć nadziei, pragnień i wielkości poszukującego ducha. Marzenie żyje dalej w sercach ludzi[1].

Wielu specjalistów lotniczych i ekonomistów, publicystów i polityków nie może przeboleć bezpowrotnie utraconej przez Kanadę szansy stania się światową potęgą technologiczną. Kanada pozostała w powszechnym odczuciu krajem pionierów, rolników i traperów, krajem surowcowym. Po kilkuletnim „supersonicznym zawrocie głowy" wróciła do tradycji i mentalności przodków. Podobnie postąpił Żurakowski. Odrzucił kuszące propozycje wielkich zakładów lotniczych w Stanach

Zjednoczonych, gdyż chciał pozostać w Kanadzie. Miał 44 lata. Był wybitnym pilotem-oblatywaczem, specjalistą w dziedzinie najbardziej zaawansowanych technologii przyszłości, ale postanowił zostać pionierem w kanadyjskim buszu. Zdecydował się rozpocząć życie od nowa, nieomal na wzór pierwszych osadników – od wyrębu drzew, budowy kabiny, a potem domu. Z naddźwiękowego myśliwca przesiadł się na traktor. Wziął do rąk siekierę i łopatę. Zaczął karczować busz, zrąbane drzewa przerabiać na deski, z desek budować rodzinne gniazdo oraz – eksperymentalne łodzie i skutery śnieżne, napędzane silnikiem wyposażonym w śmigło. Duch pilota doświadczalnego nie pozwolił mu spocząć na laurach.

***

Janusz Żurakowski miał dwa życia: lotnicze i osadnicze, miał też dwa pogrzeby. W pierwszym, 12 lutego 2004 roku pochowano go pośród… brył lodu z jeziora Kamaniskeg: ziemia na kadyjskich Kaszubach była zbyt zmarznięta, by można było wykopać grób. Dopiero w kwietniu odbył się drugi, już ten właściwy pochówek na cmentarzu Parafii św. Jadwigi przy Siberia Road w Barry’s Bay. Leży tam obok żony Anny, która dołączyła do męża we wrześniu 2015 roku.



Ostatni spacer Janusza Żurakowskiego, Kartuzy Lodge, 19 maja 2003 r., fot. M. Kusiba.

***

Uznawany za jednego z najlepszych pilotów doświadczalnych wszech czasów, pułkownik Żurakowski jeszcze za życia wpisany został w poczet członków honorowych Międzynarodowego Stowarzyszenia Pilotów Doświadczalnych (Honorary Fellow of the Society of Experimental Test Pilots) w Los Angeles – obok nazwisk zdobywcy Atlantyku Charlesa Lindbergha i zdobywcy Księżyca Neila Armstronga. Otrzymał tytuł „Pioniera kanadyjskiego lotnictwa", prestiżową nagrodę Trans-Canada McKee Trophy za rok 1958 oraz został członkiem Galerii Sławy (Canadian Aviation Hall of Fame) kanadyjskiego lotnictwa. Jego

imię nosi główny budynek Centrum Lotów Doświadczalnych w Cold Lake w Albercie. Otrzymał też nagrodę James'a Floyd'a, konstruktora Avro Arrow. W Kanadzie wybito srebrną, 20-dolarową monetę ze złotą podobizną Żurakowskiego i sylwetką CF-100 na awersie i królowej Elżbiety II na reweresie. Odznaczony Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych (trzykrotnie), w roku 1999 otrzymał od władz III RP Krzyż Komandorski Orderu Zasługi, a Polski Klub Pilotów Doświadczalnych wręczył mu złotą odznakę z numerem 2 (odznakę z numerem 1 nadano Bolesławowi Orlińskiemu). Janusz Żurakowski został też laureatem „Błękitnych Skrzydeł" – nagrody „Skrzydlatej Polski". W lipcu 2003 roku społeczność Barry's Bay w hołdzie swemu najsłynniejszemu obywatelowi ufundowała Park Żurakowskiego, gdzie stanął naturalnej wielkości pomnik pilota oraz replika Avro Arrow (w skali 1:4).



Park Żurakowskiego w Barry’s Bay, fot. M. Kusiba.

---

[1] G. Stewart: *Shutting Down the National Dream: A.V. Roe and the Tragedy of the Avro Arrow.* Whitby, Ontario 1997, 1988, p. X.

W 1997 roku powstał film p.t. „The Arrow” w reżyserii Dona McBrearty (red.).

Chopin. Pragnienie miłości.

Z twórcami filmu „Chopin. Pragnienie miłości” rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Jerzy Antczak i Jadwiga Barańska, fot. East News.

Jerzy Antczak:

Opieraliśmy się w dużej mierze na listach, notach biograficznych i na tym co współcześni kompozytorowi i jego przyjaciele mówili o Chopinie. Fryderyk Chopin to postać dość enigmatyczna. Skrywał on skrzętnie swój wewnętrzny świat. Jak powiedział Liszt, gdyby nie jego muzyka, którą pozostawił w zapisie nutowym, uwierzylibyśmy w to, że w ogóle nie istniał. Dlatego w jego biografii jest wiele rzeczy niedopowiedzianych, ukrytych, pewne rzeczy podlegają weryfikacji. Staraliśmy się więc domysleć, uzupełnić luki w biografii, ale nie chcieliśmy stworzyć bajki. Naszym zamiarem było zrobienie filmu wiernego temu, jak my sobie wyobrażamy Chopina. Tak samo jest z jego muzyką. Jeden mówi, że tak należy grać mazurka, a drugi, że należy grać inaczej. Uczniowie pytali Chopina – mistrzu jak powinniśmy pana grać? – Na co on odpowiedział – graj mnie swoimi uczuciami.

Tajemnica Chopina polega na tym, że jego trzeba otwierać własnymi uczuciami. W filmie są więc uczucia Barańskiej i uczucia Antczaka. Staraliśmy się pokazać Chopina jako żywego, materialnego człowieka, a nie świetlistego, lakierkowego. Nasz Chopin jest ułomny jako człowiek, ale za to geniusz muzyczny. Tylko wtedy uzyskamy prawdę, jeśli pokażemy postać w kategoriach ludzkich. Gdybyśmy pokazali tylko laurkę, nie byłby to prawdziwy obraz. Zawsze jednak powstaje pytanie, jak znaleźć balans, żeby nie naruszyć wyobraźni. Literatura romantyczna ubrała Chopina w nimb nieskalanego ariela, stworzyła jego legendę, upiekszając rzeczywistość. Symbolem tych

romantycznych wyobrażeń jest pomnik Chopina w Warszawie. Szymanowski w pomniku przedstawił go takiego zwiędniętego w tej wierzbie. My mieliśmy świadomość, że będziemy oskarżeni o zbrukanie świętości, ale nam się wydawało, że przez taki obraz uzyska się jego wielkość, że własnie w różnych drobiazgach z codziennego życia ukryta jest prawda o człowieku, że taki obraz zbliża do niego odbiorcę. Wszystko co pojawia się w filmie jest oparte na źródłach.

Maurycy – to historia nieudanego malarza, przeciętnego człowieka, który nie mógł znieść, że ktoś zabrał mu matkę. Staraliśmy się oddać rację Maurycemu, pokazać, że miał powody. Ale z kolei Chopin, też jest w tym układzie nieszczęśliwy. Prawdą jest, że każdy genialny artysta jest egoistyczny, jest człowiekiem, który nie widzi otoczenia, nie dlatego, że zazdrości, tylko dlatego, że jest pochłonięty emocjami, żyje w innym wymiarze. Tymczasem George była kobietą, która umiała połączyć swoją literaturę z troska o dzieci, ze smażeniem konfitur itd.

W naszym filmie staraliśmy sie wybronić George. Literatura romantyczna oskarżyła ją o zniszczenie Chopina. Przedstawiona została jako wampirzyca, która wyssała z Chopina wszystkie soki. To jest nieprawda. Chopin stworzył w Nohant 60 procent swoich utworów. Bez George muzyka Chopina byłaby uboższa. Stało się tak nie dlatego, że ona mu dała inspirację, czy że pomogla mu

komponować. Ona mu dała życiowy spokój, stworzyła mu warunki, gdzie mógł oddać się wyłącznie tworzeniu. Pamiętajmy również, że Chopin był ciężko chorym człowiekiem, który żył na kredyt. On cały czas ma świadomość, że życie z niego ucieka. Nie ogląda się więc dookoła, bo nie ma czasu na nic innego, jak tylko tworzenie.



Piotr Adamczyk w filmie „Chopin. Pragnienie miłości", fot. materiały prasowe.

Następna sprawa, to polskość. Nie chcieliśmy pokazywać tego patriotyzmu orzelkowego. Wiadomą rzeczą jest jednak, że Chopin zabrał ze sobą w obce kraje tesknotę, nostalgię i ból. My wiedzieliśmy, że właśnie wierzby symbolizują tę jego tesknotę. W każdym niemal liście Chopin pisze – a te wierzby tam przy tej drodze sa jeszcze? Kiedy był bardzo chory, w Londynie, pisał do Grzymaly – jestem jak ta wierzba, co stoi przy drodze

okaleczona, z poobcinanymi tymi czubami. Ciągle pojawiają się metafory, jego tesknoty, do krajobrazów, do bocianów.

Ale jak powiedziałem, my robiliśmy film według naszych własnych uczuć i ten film może być odbierany przez ludzi, którzy posiadają uczucia. W tym filmie nikt, nikogo nie zabija, poza tym, że bohaterowie zabijają się emocjonalnie, cierpieniem. Staraliśmy się zrobić film, w którym jedyną perfekcyjną i nie skalaną sprawą, jest muzyka. Cała reszta jest tylko przypisem, jest tylko cierpieniem, dramatem ludzkim i świadomością, jak strasznie trudno jest zdobyć miłość, a jak łatwo ją stracić.

Wszystkie duże filmy skladają się z banałów. Gdybyśmy my powiedzieli szekspirowskie – być, albo nie być, to wyszłoby najbardziej banalne stwierdzenie, jakie istnieje. No bo co takiego wielkiego jest w tych słowach. Ale pod te slowa można podłożyć miliony znaczeń, bo można być albo nie być czlowiekiem, być albo nie być świadomym tego, co ma się do zrobienia itd. Dopiero słowa nabieraja wartości w zderzeniu ze znaczeniem. A każde słowo wyjęte z kontekstu jest banalne. Ten walc a-moll, który jest głównym motywem filmu, Chopin uważał za jeden z najbardziej banalnych jego utworów i nie chciał go opublikować. Ale też powiedział – jakbyście chcieli zobaczyć mnie, to ja jestem w tym utworze. Czyli ten geniusz wstydził się banalności. Jaka jest straszna siła ludzi, którzy jeśli nie wiedzą jak coś określić, to mówią – banalne. To jest nieprawda, bo wszystko wymaga

odniesienia. I my próbowaliśmy znaleźć w tym filmie odniesienie. Adresowaliśmy ten film do ludzi wrażliwych, do ludzi, którzy czują i chcą piękna.



Piotr Adamczyk w filmie „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Jakiś czas temu byliśmy z Jadzią w Moskwie na festiwalu filmowym „Twarze miłości”. Byłem przewodniczącym jury. To były filmy rzekomo o miłości. Wyjechaliśmy z Jadzią chorzy z tego festiwalu. Dzisiaj miłość można określić jednym krótkim słowem. Miłość przestała istnieć w słowniku młodych ludzi. Ale jeden z filmów nagrodziliśmy. Za jedyne 50 tys. dolarów powstał film o prawdziwej miłości, takiej, która przerasta ludzką wyobraźnię. I to jest pocieszające, że jeszcze istnieją wartości.

Ale powracając do Chopina, znowu nasuwa mi sie zdanie szekspirowskie, z „Hamleta” – *niech ryczy z bólu ranny łoś, zwierz zdrów obiega knieje, ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś, to są zwyczajne dzieje.* Jedno z największych metaforycznych powiedzeń, jakie zna literatura – ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś. Za twórczością każdego artysty stoją nieprzespane noce, stoi cierpienie, życie w ciągłym stresie, niepokój, czy to co robię, jest dobre. Łatwo jest okaleczyć artystę. Łatwo jest krytykować. Ja mogę powiedzieć w swoim imieniu – mnie się wydaje. Ale dlaczego mam zabierać głos w czyimś imieniu. Zrobiłem film w swoim imieniu i dla jednego widza. Dla widza siedzącego w rzedzie, w mroczej sali, który chce ze mną rozmawiać. Nie wiem ilu jest takich widzów. Jak jest ich sześciuset, to dobrze, jak pięciuset, to też dobrze. Ale ja zawsze wyobrażam sobie tego jednego, modelowego.



Jadwiga Barańska w filmie „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Jadwiga Barańska:

Dobór aktorów był dość trudny i trwał bardzo długo. Najtrudniej było znaleźć aktora do roli Chopina. Musiał to być wyjątkowy aktor. Chopin był słabym człowiekiem na zewnątrz, ale bardzo mocnym w środku, taki słabosilny. Chcieliśmy więc znaleźć aktora, który byłby kruchy fizycznie, a jednocześnie był dosyć mocną indywidualnością w środku, do tego szalenie wrażliwy i grający na fortepianie. No i to bylo po prostu niemożliwe, niewykonalne. Szukaliśmy nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Znaleźć kogoś takiego było strasznie trudne. Dostaliśmy zdjęcie Piotra Adamczyka, potem jego kasety. Nie wiem dlaczego, ale mężowi on się nie bardzo spodobał. A do tego nie grał na fortepianie. Mówię do męża – co ci szkodzi, żebyś go zobaczył

prywatnie jak on wygląda. Gdy wszedł Piotr, kruchy dosyć wysoki, delikatny, niemal przezroczysty i niósł w sobie coś, co było niepowtarzalne, po 15 minutach mąż się zapytał, czy zgodził by się pan zagrać Chopina u mnie w filmie?

Piotr Adamczyk nauczył się grać na fortepianie specjalnie do tego filmu. Więc dokonał rzeczy po prostu niezwyklej.

Z rolą George było inaczej. Od początku wiadomo było, że tylko Danuta Stenka może tę rolę zagrać. Jest to świetna i doświadczona aktorka.

Film był kręcony w autentycznych miejscach, w Paryżu, na Majorce, w Warszawie i w Kozłówce, w pałacu Zamojskich pod Lublinem, które to miejsce udaje nasze Nohant. Obecne wnętrza Nohant zupełnie nie przypominają tych wnętrz, które były za czasów Chopina. Sa bardzo zniszczone, nie są tak bogate.

Kolysanka, która pojawia się w filmie pochodzi z początku XIX w. Była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Tej kołysanki nauczyła mnie moja matka. Lecz do filmu trzeba było zmodyfikować tekst, gdyż słowa były bardzo archaiczne. Zrobił to Ernest Bryll.

Jadwiga Barańska znana jest przede wszystkim z głównych ról w filmach Jerzego Antczaka „Hrabina Cosel” i „Noce i dnie”. Rola Barbary Niechcic weszła do historii kina polskiego i jest jedną z najbardziej pamiętanych wielkich kreacji filmowych. Aktorka grała również szereg głównych ról w sztukach teatralnych w Teatrze Klasycznym, Teatrze Polskim i Teatrze Telewizji. Jest także scenarzystką. (“Dama kameliowa”, film w reżyserii Jerzego Antczaka, “Scieżki chwały” oraz “Cezar i Pompejusz”, sztuki dla Teatru Telewizji).

Jerzy Antczak, reżyser wielkich filmów, takich jak „Noce i dnie”, przez szereg lat był naczelnym reżyserem Telewizji Polskiej oraz dyrektorem Teatru Telewizji, którego był też współtwórcą. Ma na swym koncie ponad 100 widowisk teatralnych jako reżyser i scenarzysta. Od 1979 roku razem z żoną Jadwiga Barańską mieszka w Los Angeles. Był profesorem (tenure) w Szkole Filmowej UCLA.

„Chopin. Pragnienie miłości” (2002).

Scenariusz: *Jadwiga Barańska, Jerzy Antczak,* ***reżyseria:*** *Jerzy Antczak,* ***współpraca reżyserska:*** *Jadwiga Barańska,* ***w rolach głównych:*** *Fryderyk Chopin: Piotr Adamczyk, George Sand: Danuta Stenka, Maurycy: Adam Woronowicz, Solange: Sara Muldner, Bożena Stachura, Justyna Chopin: Jadwiga Barańska, Mikołaj Chopin: Jerzy Zelnik*

Rozmowa ukazała się w „Gazecie” w Toronto w 2002 r.

O Fryderyku Chopinie w Nohant:

http://www.cultureave.com/fortepian-i-pioro/

Muzyka największą miłością Chopina

Klejnoty polskiej kinematografii. „Chopin. Pragnienie miłości”.



Kadr z filmu „Chopin. Pragnienie miłości”. Danuta Stenka (George Sand) i Piotr Adamczyk (Fryderyk Chopin), fot. materiały prasowe.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

W kinematografii polskiej co jakiś czas pojawiają się nowe adaptacje literatury oraz tematy związane z polską tradycją i kulturą. Możliwości techniczne, montaż komputerowy oraz kredyty bankowe, które wspomagają produkcję filmową, powodują, że filmy powstają szybko, często z dużą stratą dla jakości. Film o Fryderyku Chopinie, jest jakby poza tym nurtem kolejnego interpretowania narodowych mitów i symboli. Dość dużą trudnością przy pisaniu scenariusza był niewątpliwie bardzo bogaty materiał i szereg interpretacji postaci wielkiego kompozytora zarówno w literaturze jak i w filmach

zrealizowanych w Polsce i na świecie.

Pierwszym filmem jaki nakręcono o Chopinie był obraz Carla Boese „Nocturno der Liebe" z 1918 roku. W roli kompozytora wystąpił Conrad Veidt, który później zasłynął rolą medium w „Gabinecie doktora Caligari". Ta niemiecka produkcja, z popularnym aktorem w roli głównej, dała początek serii kilkudziesięciu filmów na ten temat. W 1927 roku powstał francuski film o Chopinie w reżyserii Henry'ego Roussela z popularnym amantem filmowych Pierrem Blanchardem w roli głównej pt. „Walc pożegnalny. Kartka z życia Frydryka Chopina". Akcja filmu osnuta została na historii narzeczeństwa Chopina z Marią Wodzińską, która zazdrosna o George Sand zrywa zaręczyny i zaręcza się z hrabią Skarbkiem. Na tę wieść Chopin jedzie do Polski i zrozpaczony gra Walca pożegnalnego.

Po epoce kina niemego w 1934 roku nakręcono film w dwóch wersjach językowych, niemieckiej („Chopin-piewca wolności") i francuskiej („Pieśń pożegnalna"). Fabuła została potraktowana swobodnie. Wydarzenia z kilku lat zostały przedstawione w czasie kilku miesięcy. Chopin wraz z prof. Elsnerem jedzie do Paryża i spotyka się z brakiem zrozumienia i akceptacji. George Sand i Liszt otwierają mu drogę na salony. W tym czasie przybywa z Polski Konstancja (pierwsza miłość Chopina Konstancja Gładkowska) lecz nie wytrzymuje konkurencji z George Sand. Z amerykańskiej produkcji największy rozgłos

zdobyła „Pamiętna pieśń”. Film miał powstać w 1938 roku z Marleną Dietrich w roli George Sand. Ostatecznie nakręcony został w roku 1944 z Merle Oberon jako panią Sand i Cornelem Wildem jako Chopinem. Młody Chopin wśród publiczności przybyłej na jego koncert widzi rosyjskiego gubernatora, nazywa go carskim rzeźnikiem i odwołuje występ. Józef Elsner radzi swojmu uczniowi, aby wraz z nim uciekł przed represjami do Paryża. Tam, Chopin zakochany w George Sand, odnosi sukces artystyczny, zapomina o Polsce i swoim profesorze. Elsner żyje w biedzie, George Sand nie dopuszcza do żadnych kontaktów. Dopiero na wieść o wybuchu Powstania Listopadowego w Chopinie budzi się patriotyzm. Na prośbę przybyłej z kraju Konstancji Gładkowskiej i Elsnera daje serię koncertów na rzecz powstańców, zapada na zdrowiu i umiera. Film jest więc melodrametem, nakręconym w hoollywodzkim stylu i nie wiele ma wspólnego z rzeczywistością. Obraz ten jednak został nominowany do Oskara w sześciu kategoriach.

Po II wojnie światowej w Polsce nakręcono kilka filmów o Chopinie, gdyż władza ludowa widziała w filmowych biografiach cele propagandowe. W 1952 roku powstał film „Młodość Chopina” w reż. Aleksandra Forda. Do czasów „Krzyżaków” z 1960 roku film ten był największą produkcją ówczesnej polskiej kinematografii. Zdjęcia trwały rok, zaangażowano półtora tysiąca statystów, uszyto dwa tysiące kostiumów. Utwory Chopina nagrała Halina Czerny-Stefańska, laureatka pierwszego

Konkursu Chopinowskiego. Bezpośrednim pretekstem do rozpoczęcia prac nad filmem stała się setna rocznica śmierci kompozytora (1849). Na rok przed rocznicą ogłoszono międzynarodowy konkurs na scenariusz. Jury nie było jednak zadowolone z wyników i nie zatwierdziło do produkcji żadnego z nagrodzonych projektów. Scenariusz przyszłego filmu napisał ostatecznie sam reżyser. W myśl założeń realizmu socjalistycznego środowisko ma decydujący wpływ na jednostkę, a więc także na artystę. Ford zdecydował się więc na opowieść o młodości Chopina (między piętnastym a dwudziestym rokiem życia) i kształtowaniu jego talentu przez środowisko w okresie dojrzewania. Chopin w tym filmie chłonie postępowe idee i rejestruje muzykę ludu podczas pobytu na wsi i w karczmie, obraca się też w kręgach postępowej inteligencji, o nastrojach narodowo-wyzwoleńczych. Mimo wierności podstawowym faktom biograficznym, osoba Chopina schodzi w tym filmie na drugi plan. Nie pomogła tu nawet kreacja postaci przez Czesława Wołłejkę. Muzyka jest ilustracją dla manifestacji, dyskusji politycznych, starć z policją.

W 1969 roku powstał film hiszpański pt. „Jutrzenka. Zima na Majorce” (1838-39). Scenariusz oparty na listach George Sand skupia się głównie na relacjach pomiędzy przybyszami z Paryża, a mieszkańcami wyspy, niezrozumieniu i konfliktach. Z filmu emanuje atmosfera osaczenia i melancholii ogarniająca bohaterów.



Kadr z filmu „Chopin. Pragnienie miłości”. Danuta Stenka (George Sand), fot. materiały prasowe.

Dwa odmienne filmy z lat 90-tych, brytyjski i francuski, znów podejmują interpretację postaci wielkiego kompozytora. „Improwizacja” („Impromptu”) z 1991 roku jest debiutem kinowym brytyjskiego reżysera teatralnego Jamesa Lapine’a. Główną bohaterką filmu jej George Sand, która stanowi motor całej akcji i w zabawny, komediowy sposób, osacza biednego, zagubionego kompozytora. Pisarka, skandalistka, ciągle zmieniająca partnerów, zawsze marzyła o idealnej miłości. Spotykając Chopina, wie, że to właśnie ten Anioł, więc zamienia się w pielęgniarkę, opiekuje się nim i uczestniczy w trudnym procesie tworzenia. W roli George Sand wystąpiła Judy Davis, w

roli Chopina, nie pasujący do tego typu postaci, Hugh Grant. Film jest komedią, czasami o zabarwieniu groteskowym, nie mający za wiele wspólnego z Polską.

Zupełnie inny charakter ma film Andrzeja Żuławskiego „Błękitna nuta” również z 1991 roku. Reżysera zafascynował etap umierania związku i ostatnie dni spędzone przez Chopina w Nohant w sierpniu 1846 roku. Ten sam okres był tematem słynnej sztuki Jarosława Iwaszkiewicza z 1936 roku „Lato w Nohant”. Iwaszkiewicz spojrzał na Chopina przez pryzmat rywalizacji George Sand z córką Solange. Sam Chopin jest niejako w tle, nieobecny, jedyne poprzez dźwięki fortepianu dochodzące gdzieś zza sceny można wiedzieć o jego obecności. Natomiast Żuławski podjął temat samotności Chopina i jego wyobcowania jako człowieka, artysty, mężczyzny oraz Polaka. Chopin jest osią całej intrygi. Stanowi najspokojnieszy element krzykliwego, rozbieganego i rozchwianego emocjonalnie świata Nohant. Żuławski upatruje przyczyny rozstania Chopina z George Sand w nienawiści jaką żywił dla niego syn pisarki, Maurycy. Pozostając w zgodzie z faktami, nadał całej opowieści osobisty i ekspresyjny charakter.

***



Kadr z filmu „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Po tak wielu interpretacjach i podejściach do tematu niezwykle trudno więc było spojrzeć na postać świeżo i pokazać na ekranie obraz kompozytora jak najbliższy temu, co po sobie zostawili i sam Chopin i jego najbliżsi, będący jednocześnie malarską opowieścią o człowieku i artyście. Autorzy scenariusza do filmu „Chopin. Pragnienie miłości” – Jerzy Antczak i Jadwiga Barańska, dokonali więc wyboru oraz znacznej selekcji materiału archiwalnego i muzycznego, a następnie zbudowali swój wizerunek postaci, który powstał w myślach, sercach, odczuciach, wrażeniach i skojarzeniach. Pomysł na film o Chopinie zrodził się wiele lat temu. Jerzy Antczak i Jadwiga Barańska przeczytali wszystko, co zostało napisane na ten temat,

zagłębiali się w postać, poznawali z bliska, i zaprzyjaźniali się. Bogata korespondencja to najlepszy materiał poznawczy, pozbawiony dorabianej, łatwo sprzedawalnej czy sensacyjnej warstwy. Tak więc w efekcie scenariusz oparty jest na źródłach, co jest niewątpliwie dużą zaletą, jako przyczynku do biografii kompozytora. Fabuła jest niejako pretekstem do pokazania ludzi, relacji między nimi, konfliktów i samego geniuszu. Chopin w filmie, nie jest postacią papierową, mityczną czy symboliczną, ale żywym człowiekiem, którego dotykają różne nastroje, choroby, cierpienia, któremu nie podobają się spodnie, bo źle są skrojone, który jada tylko pierś kurzą, a nie udko itd. Postać Chopina jest niezwykle bogata, mimo, że nie skupia na sobie całej uwagi widza. Fryderyk jest zmienny, od łagodnego, delikatnego, wrażliwego artysty, poprzez romantycznego kochanka, uczuciowego, tęskniącego syna, wybuchowego, nerwowego, drażliwego i rozhisteryzowanego gruźlika, nieobecnego, żyjącego w swoim świecie mieszkańca Nohant, po umierającego i żegnającego się ze światem kompozytora. Fryderyk ma w pamięci sceny z dzieciństwa, krajobrazy, wierzby, bociany, łąki, polne kwiaty, pola, słońce i zapach domu rodzinnego, dobrą, łagodną matkę, ojca, który widział talent syna. Te myśli i uczucia Chopina są bardzo wyraźne w filmie. Pojawiają się obrazy, wspomnienia, sceny retrospektywne nakładające się na muzykę. Kwindesencja tych tęsknot znalazła się w przepięknej „Kołysance”, pochodzącej z początku XIX wieku, skomponowanej przez Kazimierza Lubomirskiego, a opracowanej przez Ernesta

Brylla. Na obraz domu, stołu wigilijnego, choinki, rodziny, która jest taka bliska sercu, nakładają się tęsknie brzmiące słowa „O Gwiazdezko, coś błyszczała, gdym ja ujrzał świat. Czemu to mi Gwiazdko mała twój promyczek zbladł. (…) Zaświećże, jak w dawne święta, Gwiazdko chociaż raz…” Ta tęsknota za krajem lat dzieciństwa powoduje przeniesienie potrzeb i marzeń o spokoju i opiece na George Sand i Nohant. Pisarka, co było niezwykle wyraźnie pokazane na filmie, w wyobraźni Chopina zastępuje mu matkę. Opiekuje się nim w chorobie, siedzi przy jego łóżku, sama gotuje, daje mu upragnione poczucie bezpieczeństwa. A jest to mu niezmiernie potrzebne, gdyż Fryderyk wie, że jemu zegar bije szybciej niż każdemu innemu człowiekowi. Wie, ze musi się spieszyć, by zdążyć zapisać siebie i swoje uczucia w muzyce.



Kadr z filmu „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Chopin czuję się wyobcowany w zderzeniu z kulturą francuską. Mówi do Solange, że ciągle nie nauczył się dobrze francuskiego i mimo, że ma francuskie korzenie, czuje się Polakiem. Polska została w filmie pokazana wyraźnie, poprzez pryzmat odczuć Chopina. Pokazany został jego stosunek do Wielkiego Księcia Konstantego, poczucie upokorzenia, gdy musi uczestniczyć w scenie zrywania orzełków z mundurów polskich oficerów i zakuwania Polaków w kajdany. Podczas jednego z paryskich salonowych występów gra „Etiudę Rewolucyjną” i na tym tle pojawiaja sie obrazy z Powstania Listopadowego, dom rodzinny, przerażone siostry i niczczony instrument, symboliczny gwałt na wartości, jaką jest muzyka.

Nie mniej ważnymi postaciam są George Sand i jej dzieci, Maurycy i Solange. Fryderyk Chopin i jego świat muzyki stoi po jednej stronie, a z drugiej strony trzy postacie spragnione miłości, każde pozostające w innych relacjach z kompozytorem, walczą ze swoimi emocjami. Tak można by schematycznie narysować filmową sytuację. W filmie pokazana została George Sand, jak bardzo zniszczył ją emocjonalnie rozwód i upokorzenia, jakich doznała od swojego męża, jak wielokrotnie szukała miłości i ciągle jej nie znajdowała, jak bardzo spragniona jest „spokojnej miłości". Potrafi prawidłowo ocenić geniusz Chopina, czuje się mu potrzebna, walczy o niego, choć ta miłość ją dużo kosztuje.

Maurycy, odtrącony przez ojca, nade wszystko pragnie miłości matki. W porównaniu z Chopinem czuje się nikim jako artysta, choć ciągle słyszy od matki pochwały. Jego wielka zazdrość i ból narastają, nie znajdując ujścia. Jedyne uczucie, jakie może żywić do Chopina, to nienawiść.



Kadr z filmu „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Solange natomiast, nie mająca kontaktu z matką lokuje swoje świeże uczucia w Chopinie, gotowa jest na wszelkie poświęcenia, marzy, pragnie być potrzebna i stąd jej rywalizacja z matką. Każda z tych postaci ma rację, każda ma motywację i powody do takiego, a nie innego postępowania. I ten problem został wyraźnie pokazany w filmie. Postać George Sand została nieco złagodzona, w porównaniu z materiałem, który po niej został. Zaznaczona jest jej wybuchowość i porywczość (scena z odtrąceniem małej Solange, która przynosi bukiecik polnych kwiatków), ale w ogólnym odbiorze pisarka pokazana została jako osoba starająca się łagodzić konflikty, postawianiona pomiędzy geniuszem, a swoimi dziećmi, rozdarta emocjonalnie, a

jednoczesnie potrafiąca pogodzić pracę literacką z przyziemnymi sprawami codzienności i prowadzeniem domu. Mimo, że też ma artystyczną duszę, stoi mocno na ziemi. Jej czas tak szybko nie płynie.

Jak w tragedii antycznej, w filmie nie ma zwycięzców, ani pokonanych, wszyscy płacą podobnie wysoką cenę za walkę o uczucia.

Podjęcie tematu miłości na ekranie jest bardzo niebezpieczne, gdyż blisko jest do kiczu, melodramatu, łzawej opowieści o niewielkich wartościach. Ten film nie przekroczył granicy, jest trzymającym się faktów obrazem z uwypukleniem międzyludzkich konfliktów.

Należy zwrócić uwagę na świetną grę aktorską. Piotr Adamczyk w roli Chopina jest wyjątkowy. Dobrany tak pod względem fizycznego podobieństwa, jak i emanacji wewnętrznej wrażliwości oraz specyficznego ciepła. Aktor utożsamia się z postacią Chopina, a nie kreuje siebie. Nie jest przy tym tylko zamkniętym w sobie, nieobecnym artystą, lecz jego gra jest zróżnicowana, oddająca zamierzenia autorów scenariusza.

Danuta Stenka, jako George Sand wzbudza ogromną sympatię widza, który tłumaczy jej wybuchy. Prezentuje swoją urodę w różnych sytuacjach, raz wygląda jak Amazonka, kiedy indziej jak

Hiszpanka czy Cyganka, dama w kapeluszu, matka i gospodyni. Tworzy wizerunek żywej i prawdziwej kobiety-pisarki.

Niewątpliwym walorem filmu jest jego malarskość. Scena, na przyjęciu w Paryżu, gdy George podaje liścik Chopinowi z napisem „j'adore" nawiązuje do słynnego obrazu Delacroix'a „Chopin i George Sand", gdy George tak samo pochylona, stoi przy fortepianie z kwiatem we włosach. Wiele scen plenerowych w słońcu i przy księżycu, w alei nocą i na łąkach w pełnym słońcu oraz piękne polskie pejzaże niezwykle pasują do muzyki. Bo przecież ten malarski ładunek zawarty jest w utworach.

Oprócz rozgrywajacego się na ekranie dramatu i konfliktów, oprócz biografii Chopina i George Sand, oprócz wątków patriotycznych, towarzyskich czy miłosnych, od początku filmu, aż do końca obecna jest muzyka Chopina. I tak naprawdę, to ona jest główną „bohaterką". Motywem przewodnim, dość często się powtarzającym, jest Walc a-moll. Ale w filmie zostało wykorzystanych bardzo wiele różnorodnych utworów. Marsz dla Księcia Konstantego opracowany został na podstawie Poloneza C-dur. Poza tym słyszymy Ediudę Rewolucyjną, Polonez A-dur, nokturny, preludia, sonaty, walce, mazurki. Większość utworów Chopina wykonuje Janusz Olejniczak. Około 60 procent utworów, ktore pozostawił po sobie Chopin powstało w Nohant. Jakże więc uboga byłaby spuscizna kompozytorska Chopina, gdyby nie George Sand i to jest chyba jeden z głównych wniosków, który

się nasuwa po obejrzeniu filmu.



Kadr z filmu „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

„Chopin. Pragnienie miłości” (2002).

Scenariusz: *Jadwiga Barańska, Jerzy Antczak,* ***reżyseria:*** *Jerzy Antczak,* ***współpraca reżyserska:*** *Jadwiga Barańska,* ***w rolach głównych:*** *Fryderyk Chopin: Piotr Adamczyk, George Sand: Danuta Stenka, Maurycy: Adam Woronowicz, Solange: Sara Muldner, Bożena Stachura, Justyna Chopin: Jadwiga Barańska, Mikołaj Chopin: Jerzy Zelnik.*

Recenzja ukazała się w „Gazecie” w Toronto w 2002 r.

_____

W piątek, 22 lutego 2019 roku ukaże się rozmowa z Jerzym Antczakiem i Jadwigą Barańską na temat filmu.

Fryderyk Chopin w Nohant:

http://www.cultureave.com/fortepian-i-pioro/

Anioł Stróż.

Opowiadanie sensybilistyczne.

Kazimierz Głaz *(Toronto, Kanada)*

> Aniele boży stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano wieczór, we dnie, w nocy, przychodź zawsze do pomocy. Aniele boży, stróżu mój!



Kazimierz Głaz, Anioł Stróż, luty 2019 r.

Dawno, dawno temu, na pamiątkę Pierwszej Komunii dawano dzieciom obrazki. Były czarno-białe, czasami kolorowe i przedstawiały małego chłopca, który przechodził po drewnianej kładce nad wodą. Za nim szedł bialy anioł z dużymi skrzydłami, podtrzymujący dziecko, żeby nie wpadło do wody. Dzisiaj dają w prezencie zegarki, rowery czy kłady, które zapewne nie działają tak silnie na wyobraźnię.

Mnie podobały się te obrazki, jak byłem dzieckiem, bo nigdy nie widziałem skrzydlatego człowieka. Huzarów na koniach widziało się tylko w książkach do historii. U nas w pobliżu domu był kanał, gdzie woda dochodziła do kolan, więc nie było obawy, że ktoś się utopi. Księża jednak uważali, że taki stróż-ochroniarz potrzebny jest na wszelki wypadek każdemu, kto zaczyna dorastać.

Tak też pewnie myśleli nasi rodzice, bo zamiast pilnować dzieci, oddawali je w ręce niewidzialnego pracownika społecznego bez umowy.

– Nie wchodź do wody, bo głęboka – mówili nieraz, ale nam było wszystko jedno, bo mieliśmy przecież naszego Anioła Stróża. Uwierzyłem i ja. Toteż przez długie, dobre lata, udawało mi się nie wpaść do tej wzburzonej wody.

Kładkę zamieniałem na samoloty, pociągi i autobusy, by objechać świat prawie dookoła bez szwanku, jak się to u nas mówiło. Anioły fruwały nad nami. Im jakoś łatwiej pewnie było w powietrzu niż na ziemi. Poza tym nikt na dobrą sprawę nie powiedział czy taki Stróż jest na kontrakcie i w jakim jest wieku. Czy Anioły się starzeją tak jak my i czy następca jest młodszy, czy starszy. Czy taki Anioł się czasem nie zagapi i nie straci kontroli na moment. Ten ważny Moment.



Kazimierz Głaz, Istota rzeczy, Elbląg, Centrum Sztuki Galeria EL, 2009 r.

Mój pewnie się zagapił, bo nic takiego w takim miejscu i w takim mieście nie powinno się wydarzyć. W tramwaju, w Toronto, w godzinach popołudnowych. Ale zdarzyło się. Wsiadłem. Tramwaj ruszył ostro, a ja upadłem na podłogę. Dobrzy ludzie pomogli, podnieśli, zapytali czy wszysko jest OK. Nie było. Dlatego pierwszej nocy w szpitalu u Świętego Michała przypomniałem sobie tamten obrazek z dzieciństwa.

Na pogotowiu szybko mnie przyjęli, wysłuchali, prześwietlili co trzeba i stwierdzili, że wszystko jest OK. Złamania nie ma. A więc

Anioł nie przegapił, zdążył jak widać w ostatniej chwili, kości są w całości. Trzeba jednak było zrobić dalsze badania, więc wysłali mnie na siódme piętro szpitala, mimo, że było późno i chciałem iść do domu.

Tutaj muszę wyrazić słowa najwyższego uznania dla kanadyjskiej służby zdrowia. Niby wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek trzeba jeszcze raz sprawdzić. Do tego celu służą ośrodki rehabilitacyjne, tzw. *rehaby*.

Zwolnilo się miejsce w niezbyt odległej dzielnicy Bridgepoint i podwieziono mnie tam karetką. Ośrodek nowy, zbudowany dopiero trzy lata temu, był wygodnym miejscem do ćwiczeń i odpoczynku. Pokoje dwusoobowe, przestronne sale gimnastyczne, a przede wszystkim sala z komputerem, gdzie byłem jedynym użykownikiem, bo inni mieli swoje własne gadżeciki i telefoniki do kontaktowania się ze światem. A świat był rozlegly, dla mnie też. Mój kanadyski szwagier w Tokyo, moja rodzina w Polsce, znajomi w Europie i kilka osób w Toronto, co się ostali wbrew czasowi jaki upłynął przez 50 lat mojego pobytu w Kanadzie.



Kazimierz Głaz, Motywy z Vence, Muzeum Witolda Gombrowicza, Wsoła, Polska.

Pacjent w pokoju, do ktorego mnie wprowadzono przedstawił się. Ja też. Kazimierz, poprawiam na Kazimir, bo to „rz” trudne jest obcym do wymówienia. Zaciekawienie. Dodaję, że jestem z Polski.

– *Nice to meet you* – mówi uśmiechając się przyjaźnie – bo ja też jestem pół Polakiem.

– A ty mówisz zapewne po polsku – dodaje z nadzieją, że po paru tygodniach z obcymi, pogadamy sobie po swojemu.

– Moja mama była z Krakowa, a ojciec z Kijowa – kontynuuje – i oboje byli Żydami. Poznali się tutaj, w Toronto i musieli się uczyć nowego języka – dodał usprawiedliwiająco.

Był znakomitym kompanem i rozmówcą. Nieco młodszy ode mnie. Od dziecka interesował się sztuką. Chodził nawet na jakieś kursy wieczorowe, chciał być artystą, ale jego matka, ta z Krakowa, uważała, że to nie najlepszy zawód i nie przynosi pewnego dochodu. Skończył więc szkołę techniczną, ale sztuką interesuje się do dziś.

Podobnie jak moja ciotka, nauczycielka, zabraniała mojej mamie wyrazić zgody na takie studia, bo artyści dawniej żyli w biedzie, albo nie po katolicku.

Jesteśmy parę dni przed Wigilią. Cały czas słyszy się *Merry Christmas*. Dookoła pacjenci i odwiedzający. Ludzie są podnieceni.

W Wigilię, zaraz po poludniu przychodzą do mnie Lena i Oliwier, moi najmłodsi przyjaciele, wraz z ich ojcem Piotrem. Duża radość. Zostawiają mnie z opłatkiem w kopercie. *Merry, Merry* i Wesołych Świąt. Zostaję sam i z moim sąsiadem czekamy na wigilijną Wieczerzę. Przez dobrą chwilę zastanawiałem się jak w takim momencie postąpić. Czy jako Polak ze swoją tradycją domową łamania się opłatkiem z rodziną i znajomymi? A jak zachować się z ludźmi z innej religii, z Żydem na przyklad, czy pominąć swoją tradycję milczeniem, żeby nie urazić jego obyczajów? Czasami o tym rozmawialiśmy.

Przynoszą kolację w ładnych naczyniach, stawiają na stolikach. Przed pierwszą łyżką zatrzymuję go. Wstaję, podchodzę do niego i mówię, że teraz, zgodnie z polską tradycją powinniśmy złożyć sobie życzenia. Podaję kawałek opłatka, wymawiając uroczyście życzenia, on łamie swój kawałek, wkładając do ust, też mi życząc zdrowia. Ściskamy sobie dłonie. I obaj czujemy się gotowi do Wieczerzy. Teraz odkrywamy, że mnie podali rybę, a jemu kotlet mięsny. Śmiejemy się, że administracja wiedziała o naszych tradycjach relgijnych i obyczajach.

Merry Christmas, any way!!!

Toronto, styczeń 2019 r.



Kazimierz Głaz, Istota rzeczy, Kraków, Galeria – Krypta u Pijarów, 2010 r.

O Kazimierzu Głazie:

http://www.cultureave.com/w-poszukiwaniu-piekna-kazimierz-glaz/

Strona artysty:

https://sites.google.com/site/kazimirglaz/

Kazimierz Głaz *(ur. 26 marca 1931 w Borkach Nizińskich) –*

artysta malarz i prozaik. Reprezentuje kierunek w sztuce zwany sensybilizmem. Liczne wystawy zbiorowe i indywidualne w Kanadzie, we Francji, Niemczech i w Polsce; między innymi w galerii Zachęta w Warszawie, w Muzeum Narodowym we Wroclawiu i w Galeri El w Elblagu.

Laureat wielu nagród i wyróżnień; w 1965 roku na IV Międzynarodowym Biennale w Paryżu na wniosek Marca Chagalla otrzymał nagrodę Erasmus Prize z Holandii na pobyt i pracę twórczą we Francji. W 1972 r. otrzymuje jedną z głównych nagród i wyróżnienie w konkursie na grafikę /Edition One/ w Toronto. W 1985 r. nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie wydał książkę zawierającą wspomnienia o Witoldzie Gombrowiczu, którego poznał podczas pobytu w Vence, we Francji w latach sześćdziesiątych. Od 1968 r. mieszka i tworzy w Toronto w Kanadzie.

Najbardziej znane serie obrazów i grafik to: „Impresje Moskiewskie", „Ujęcie III Exoteryczne", „Istota rzeczy – The Essence".

Wydaje książki bibliofilskie, wspiera młodych artystów kanadyjskich oraz tworzy pierwsze stałe kolekcje sztuki współczesnej w szkołach.

Studia: 1950 – 1956 Malarstwo monumentalne na Wydziale

Ceramiki i Szkła PWSSP we Wrocławiu; dyplom z malarstwa pod kierunkiem prof. Stanisława Dawskiego. W latach 1955-1958 mieszkał w Wałbrzychu, gdzie sformułował „Manifest sensybilistyczny i założył Niezależną Szopkę Sensybilistyczną. W 1957 r. wraz z Michałem Jędrzejewskim i grupą przyjaciół przygotował w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu spektakl – akcję pt. „Sensybilism, czyli, nie wolno robić z publiczności balona". Wydarzenie to traktowane jest, jako pierwszy happening w Polsce. W 1958 r. powrócił do Wrocławia. W 1962 r. uczestniczył w wycieczce do Moskwy i Leningradu. Dwutygodniowy pobyt w Rosji zapoczątkował jego nową serie obrazów wynikających z fascynacji sztuką bizantyjską, którą przetworzył na sztukę współczesną.

Za obrazy z cyklu „Impresje moskiewskie" pokazane w 1965 r. na Ogólnopolskiej Wystawie Młodego Malarstwa w Sopocie otrzymał jedną z głównych nagród oraz roczne stypendium twórcze Ministerstwa Kultury, jak również udział w IV Międzynarodowym Biennale Malarstwa w Paryżu. Zdobycie na Biennale nagrody Erasmus Prize przyznanej przez Marca Chagalla umożliwiło mu trzyletni pobyt we Francji.

W 1966 r. został zaproszony przez Michael Karolyi Fondation do Vence na Lazurowym Wybrzeżu. Tam poznał Marca Chagalla, Maxa Ernsta, J. Miro oraz Witolda Gombrowicza. Swoje wspomnienia ze spotkań z pisarzem przekazał w książce

„Gombrowicz w Vence” wydanej w jego opracowaniu w Toronto (1985) i w Krakowskim Wydawnictwie Literackim (1989).

Pod koniec 1968 r. wyjechał do Kanady i zamieszkał w Toronto. W 1969 r. zorganizował Toronto Center for Contemporary Art, które prowadzi do chwili obecnej. Wspólnie z artystami kanadyjskimi założył Community Art Collections sponsorowane przez Rząd Federalny. Artyści zatrudniani są na pensji pracując w swoich pracowniach i przekazują po kila prac do stałych zbiorów sztuki w lokalnych szkołach.

Jego prace znajdują się dziś w stałych zbiorach w wielu muzeach krajowych i światowych jak m.in. Muzeum Sztuki Współczesnej w Tokyo, Metropolitan Museum w Nowym Yorku, w Barcelonie, w Sao Paulo, Dreźnie, w Paryżu, czy w zbiorach Watykanu.

W ostatnich latach kontynuuje swoje zainteresowania nad serią obrazów wielkoformatowych nazwanych „Istota rzeczy” oraz bierze udział w plenerach i spotkaniach artystów posługujących się językiem geometrii, organizowanych w Orońsku i Radziejowicach.

Ujmująca postać polskiego Londynu. Tola Korian (1911-1983).



Wieczór poezji Stanisława Balińskigo, od lewej: Wojciech Piekarski, Tola Korian, Stanisław Baliński, Hanna Rawicz, Stefan Gołębiowski, fot. Teatr Nowy, Londyn.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Ci wszyscy, którzy w czasie wojny i po wojnie byli w Anglii pamiętają, że jedną z najbardziej ujmujących postaci barwnego korowodu osobowości polskiego Londynu była Tola Korian (1911-1983), wspaniała artystka dramatyczna i uroczy człowiek.

W mojej pamięci pozostanie jako wybitna recytatorka poezji polskiej i subtelna odtwórczyni piosenek i liryków na scenie londyńskiego “Ogniska”, ale także nieprzeciętna pani domu organizująca wystawną kolację w wynajmowanym mieszkaniu w Chicago, czy z dumą pokazująca odnowiony po powrocie do

Londynu dom na Putney.

Zapamiętam też jej troskliwą opiekę nad Tymonem Terleckim. Pewnego rana zgłosiłem się z magnetofonem do mieszkania Jadwigi i Adama Tomaszewskich w Toronto, u których się zatrzymali Tola i Tymon Terleccy podczas tury po Kanadzie i USA. Umówiłem się na rozmowę z Tymonem. Wspominał poetów przedwojennych, z którymi się stykał. Gdy rozmowa, a raczej uskrzydlony monolog Tymona, który utrafił w natchniony ton reminiscencji, przeciągała się, weszła w pewnym momencie cicho, ale zdecydowanie Tola, aby nam sesję przerwać. Obawiała się, że mąż się przemęczy. Któż mógł wtenczas przypuszczać, że to właśnie ona, doskonała opiekunka, była bardziej zagrożona niż przedmiot jej troski?



Tola Korian, fot. Teatr Nowy, Londyn.

Kto Toli nie znał, znajdzie wiele wspomnień o niej w książce wydanej w Londynie w 1984 roku. Fotografie i serdecznie pisane wspomnienia przybliżają człowieka i utrwalają jej dokonania. Brakuje wśród nich wyczerpującego życiorysu (ja taki przypadkiem posiadam, i to w opracowaniu samej Toli z czasów, gdy ubiegała się o pozycję na naszym uniwersytecie Western Ontario). Z materiałów zawartych w tomie szczególnie polecam szkic Jadwigi Jurkszus Tomaszewskiej, napisany z polotem i

sumiennością. Jest on nie tylko najobszerniejszy w tomie, ale i najambitniejszy i pisany *con amore*. Jego autorka konkluduje:

> Poznanianka z urodzenia, poliglotka, kosmopolitka, znająca na wylot Europę i niezgorzej drugą półkulę, była przede wszystkim Polką, bez celebracji, bez słów. Na codzień, a żarliwie.



Tola Korian na scenie, fot. StareMelodie.pl

Tola Korian na zdjęciach:

http://www.cultureave.com/zycie-piosenka-uslane/

Sukces 2018: 50. góra spośród „200 Szczytów Świata”



Na szczycie Grauspitz (2599 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Anna Borecka *(Wrocław)*

Poprzedni rok był dla mnie czasem siewu i dobrych zbiorów. Posiałam ziarna w czterech krajach, a plony zebrałam aż w pięćdziesięciu. A było to możliwe dzięki temu, że od dzieciństwa pielęgnowałam roślinę moich marzeń – pnącą się stopniowo po górach w Polsce, Europie, Azji, obu Amerykach i Afryce.

Właśnie w 2018 roku dotarłam na pięćdziesiąty wierzchołek w autorskim projekcie „200 Szczytów Świata", którego celem jest zdobycie najwyższych szczytów we wszystkich państwach. Co prawda, nie znalazłam tam wieńca laurowego, ale był to dla mnie wielki sukces oraz radość i spełnienie, chociaż okupione dużym wysiłkiem, zmęczeniem, a nieraz i kontuzją. Większość szczytów zdobyłam samotnie, podróżując autostopem w góry świata, dźwigając 20-kilogramowy plecak na trasie 10-40 kilometrów dziennie, śpiąc gdzieś na dziko w tunelowym namiocie, gotując kawę lub kuskus na małym palniku, w pojedynkę zdobywając góry małe i duże, trekkingowe lub wspinaczkowe.

Jednak w każdym kraju spotkałam osoby życzliwe i pomocne. Ktoś wskazał mi drogę, ktoś udzielił dobrej rady, jakaś rodzina zaprosiła mnie na poczęstunek lub nawet na nocleg. To dzięki nim zrodził się pomysł głoszenia idei o ludziach takich samych jak my. Zatem po powrocie do domu prowadziłam prezentacje górsko-podróżnicze, pisałam artykuły i książki, zajmowałam się

sprawami rodzinnymi i zawodowymi. I czekałam na kolejny górski zew.

Sukces – 50 szczytów w projekcie!

Latem zdobyłam sama najwyższe szczyty Irlandii, Portugalii na Azorach oraz Cabo Verde w Afryce, które w moim projekcie zajmują kolejne pozycje 47, 48 i 49.

Wejście na najwyższy szczyt Zielonej Wyspy, **Carrantuohill (1038 m)**, kojarzę z prawdziwą sielanką. Na wstępie był to lot tanimi liniami do Cork – tylko z bagażem podręcznym – przejazd jednym autostopem 100 kilometrów, z podwiezieniem mnie wprost na górski kemping, wejście na szczyt w deszczu i mgle okrężną drogą oraz zejście „Diabelską Drabiną", która nie jest wcale taka trudna, jak straszą w Internecie.

Pobyt na kempingu dostarczył mi niezapomnianych wrażeń. Tylko trzy namioty wśród soczystej zieleni i kwitnących drzew, a wokół pola tarasowe otoczone kamiennymi murkami i cudowną ciszą. Tym razem, w ramach testu ekwipunku minimalisty, postanowiłam przenocować nie w namiocie, lecz w płachcie biwakowej. Zwróciłam twarz w stronę gwiazd, spokojnie migoczących na niebie, a kilka sekund później zaatakowały mnie setki krwiożerczych komarów, które chciały mnie żywcem zjeść. Nie pomogły zatyczki w uszach, opaska na oczach i moskitiera na

głowie, ani środek przeciw moskitom. Budziłam się co chwilę, walcząc z chmarą owadów. A gdy wreszcie przysnęłam zmęczona, to obudziło mnie beczenie owiec, które w nocy wtargnęły na kemping. Kolejno przeskakiwały przez kamienny murek i przechadzały się wśród namiotów, spokojnie skubiąc trawę i głośno becząc co chwilę. Na szczęście zabiwakowałam w pobliżu drewnianego domku, bo inaczej by mnie rozdeptały. Maleńkie jagnię bało się zbiec na dół, więc rozpaczliwie wzywało matkę na pomoc. Ona jednak była zbyt zajęta swoją kolacją. Moim jedynym marzeniem było doczekać wschodu słońca, żeby zerwać się na równe nogi i uciec z tej idylli. Jednak oczekiwanie świtu uatrakcyjniały mi przelotne opady deszczu. Test „bivi” wypadł więc na piątkę: miałam zieloną płachtę biwakową na zielonej trawce, zieloną moskitierę z aureolą zielonych komarów wokół głowy oraz nadzieję w tym samym kolorze.



Żleb zwany Diabelską Drabiną – w drodze na Carrantuohill, fot. Anna Borecka.

W drodze na najwyższy szczyt Portugalii, który znajduje się na Azorach, miałam też wyjątkowe szczęście. Z lotniska jechałam autostopem z panią pracującą w biurze podróży. Byłam zachwycona wysokimi nadmorskimi krzewami, smaganymi przez wiatr, które pięły się po niewielkich pagórkach. Nieskazitelną zieleń przecinała serpentyna asfaltu, po której pędziło tylko „nasze” auto. W prześwicie drzew, kątem oka zobaczyłam wzburzony Atlantyk i zastygłe formy czarnej lawy. Nagle znalazłam się w zupełnie innym świecie – surowym, odludnym i pięknym.

W górach nie było już tak bajkowo, bo wiało 45 kilometrów na

godzinę i strażnicy parku nie chcieli mnie przepuścić. W końcu wyruszyłam w stronę szczytu, we mgle, w deszczu i przy silnym wietrze. Na szczęście, na szlaku były słupki wskazujące drogę. Tuż przy kraterze skoczyłam nagle w bok, słysząc… ryczące motocykle. Szybko oprzytomniałam, że to wycie wiatru, więc kurczowo chwyciłam się słupka, żeby nie zwiało mnie z krawędzi krateru. Tam już wiało około 100 kilometrów na godzinę. Wreszcie, trochę na oślep, trochę za znakami, wspinając się po skałach, dotarłam na szczyt **Pico (2351 m)**, który był zasnuty mgłami. A wiało tak, że głowę chciało urwać. Zgrabiałymi rękami wycierałam zachlapany obiektyw aparatu, żeby zrobić kilka zdjęć.

Na dół zeszłam już w nocy, przemoczona do suchej nitki. Jednak nie mogłam poczekać do rana w suchym i ciepłym pomieszczeniu, bo pracownik parku nie wyraził na to zgody. Wypiłam więc trzy szybkie filiżanki espresso, w łazience wykręciłam ubranie i ruszyłam w drogę powrotną – nocą, we mgle i deszczu, z kamieniami w rękach na dzikie zwierzęta. A po dodatkowych 22 kilometrach marszu, mokra jak szczur, wzięłam ciepły prysznic na kempingu i tuż przed świtem wczołgałam się do mojego namiotu. A te wszystkie atrakcje zawdzięczam węgierskim liniom lotniczym, które odwołały mój pierwszy lot z Wrocławia do Porto, powodując obsuwę mojego planu o dwa dni, z koniecznością zdobycia Pico w fatalnych warunkach. Ponadto dwie noce spędziłam na lotnisku w Lizbonie – w stylu

Toma Hanksa z filmu „Terminal” – i do dzisiaj nie otrzymałam zwrotu kosztów związanych z nieplanowanym lotem na Azory przez Londyn i przebukowaniem kolejnych biletów.



Wioska w kalderze na Capo Verde, w tle Pico do Fogo (2829 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

W Afryce było już bardzo gorąco! Na Wyspach Zielonego Przylądka wspinałam się „na żywca” w wulkanicznych skałach, w niebezpiecznym, osypującym się terenie. Szukając chwytów w skalnej ścianie, wyrwałam z niej spory, ruchomy głaz, który spadł mi na nogę. Krzyknęłam, wytrzymałam ból, zaciskając zęby i natychmiast wróciłam do trzech punktów podparcia. Dzięki temu

uniknęłam odpadnięcia od ściany z wysokości około ośmiu metrów. W górach powyżej 2800 m n.p.m. nie było nikogo, więc mogłam liczyć tylko na siebie. Weszłam na szczyt, zrobiłam zdjęcia i zeszłam do podstawy ściany z obolałą nogą. Po powrocie z **Pico do Fogo (2829 m)** okazało się, że poszłam za daleko, bo główny szczyt był o 1,5 godziny drogi wcześniej. Właśnie tam, gdzie przedtem odpoczywałam. Dowiedziałam się jeszcze, że miejscowi przewodnicy górscy nie wspinają się w tamtym karkołomnym miejscu.

Następnego dnia poszłam na spacer wśród afrykańskich domków, rozsianych między dawno zastygłą lawą. Okrążyłam cały wulkan Pico do Fogo – łącznie 18 kilometrów – uważnie przyglądając się z dołu najwyższym turniom. Po czym stwierdziłam, że zdobyłam dwa szczyty, w tym jeden bezimienny. Nie wiem, dlaczego tamta skała mnie wtedy zawołała. Być może chciała mi zostawić cenną pamiątkę? Do dzisiaj mam spore wgłębienie w udzie od uderzenia kamieniem.

Moim najważniejszym osiągnięciem w 2018 roku było zdobycie pięćdziesiątej góry w projekcie „200 Szczytów Świata”. Był to **Vorder Grauspitz (2599 m)**, najwyższy szczyt Lichtensteinu, na który wspięłam się sama, ale dopiero za trzecim razem. W latach 2013 i 2015 pojechałam autostopem do Lichtensteinu, przeszłam sama część grani, zdobywając niższy wierzchołek, Hinter Grauspitz (2574 m) . Jednak musiałam się wycofać, będąc

zaledwie 20 minut drogi od głównego szczytu. Samotna wspinaczka bez asekuracji była zbyt ryzykowna – w skalnej grani, wyglądającej jak ostra brzytwa, przy porywistym wietrze, nadciągających czarnych chmurach i braku żywej duszy w górach. Przemoczona i zmarznięta wracałam pokonana przez granitową skałę, ale szczęśliwa, bo żywa.

W 2018 roku postanowiłam zawalczyć po raz trzeci, lecz tym razem od strony Szwajcarii. Przeszłam przez kilka górskich grzbietów i tuneli. A potem szłam po stromym, mocno osypującym się piargu i częścią grani, która nie była już taka trudna. Na szczycie odetchnęłam z ulgą, uniosłam ręce w geście zwycięstwa i wydałam okrzyk radości! Nikt mnie przecież nie słyszał, oprócz wiatru szepczącego mi do ucha: „A jednak, zrobiłaś to! Sama!”. Przez moment zakręciła mi się łezka w oku, pewnie z powodu tego wiatru. Wpisałam do książki wejść informację o 50-tym wierzchołku i zrobiłam kilka zdjęć. Jednak zdobycie góry, to dopiero połowa drogi, więc zaczęłam odwrót, gdy nad głową pojawiły się ciemne chmury.



Skrzynka z książką wejść na szczycie Grauspitz (2599 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Moja górska koleżanka

Po zejściu ze szczytu spałam w opuszczonej w tym czasie dolinie, na wysokości około 2000 metrów. Znów byłam sama, niczym pani na włościach. A pogoda była typowo górska. Wiał silny wiatr, temperatura spadła blisko zera, nadciągnęła burza z piorunami i rzęsista ulewa. A ja miałam cienki śpiwór, bo przecież wracałam z Afryki. Nie rozbiłam więc namiotu, bo było zbyt zimno. Nie przenocowałam też w murowanym schronie dla turystów, bo akurat był zamknięty. Po raz pierwszy zabiwakowałam w drewutni, w której znalazłam miejsce w sam raz na karimatę. W nocy obudził mnie jakiś hałas. Poświeciłam czołówką między szczapy drewna, ułożone pod ścianą, tuż nad

moim legowiskiem. Zobaczyłam świecące oczka i małe pysio, ale nie był to szczur, ani mysz, więc pewnie jakaś nornica. Otuliłam się szczelnie śpiworem, w nadziei, że to zwierzątko nie będzie po mnie biegać. Przecież to ja byłam tutaj nieproszonym gościem. W końcu zasnęłam.

Nagle zbudził mnie jakiś dziwny, cichy szelest. W świetle czołówki zobaczyłam mały woreczek śniadaniowy, zwinięty w kulkę, który kołysał się w górę i w dół, w dziurze w ścianie, tuż przy drzwiach. Zaśmiałam się i powiedziałam łagodnym głosem: „Po co ci ten woreczek? Chcesz sobie uszczelnić mieszkanko na zimę?". Wtedy umilkł szelest. Pomyślałam, że niepotrzebnie zawiązałam w supełek torebkę ze smakowitymi okruszkami, bo „Myszka" nie mogła jej wciągnąć do swojej norki. W tym momencie przyszło mi do głowy, że właśnie stałyśmy się koleżankami. Przecież miałyśmy wspólną rzecz, którą ona sobie ode mnie pożyczyła. „Człowiek nigdy nie jest sam, nawet wtedy, kiedy jest o tym przekonany" – stwierdziłam ze zdziwieniem. Rano zbudziłam się z tą myślą i postanowieniem, że wracam z gór i rzucam dotychczasową pracę, że zacznę wszystko prawie od początku, że zajmę się zawodowo projektem „200 Szczytów Świata", bo przecież człowiek nigdy nie jest sam.

Ważne osiągnięcia, czyli „Rób to, co kochasz”

Wracając z wakacji podjęłam decyzję o zmianie pracy i stylu życia, i od razu wzięłam się ostro do dzieła. Zamknęłam stare sprawy, przestawiłam meble i zajęłam się pracą twórczą. Dokładnie 12 października wpadłam na genialny pomysł, który nazwałam „home office 4×3”. Od tej pory dzień roboczy dzielę na trzy bloki czterogodzinne. W pierwszej części zajmuję się pracą twórczą, w drugiej biegnę na półtoragodzinny trening do parku i załatwiam bieżące sprawy, a w trzeciej części zajmuję się przygotowaniem kolejnego etapu projektu, czyli Piki Ameryki. Hiszpańskiego uczę się co drugi dzień, słuchając płyty podczas porządków, a w weekend szlifuję język, stosując własny pomysł na „fiszki mobilne”. W sobotę mam zazwyczaj długie wybieganie lub łączę trening siłowy z biegowym, albo jadę na długą wycieczkę rowerową. I to zajmuje mi kilka godzin, czasem w deszczu, lecz rzadko w śniegu, bo zima znów jest byle jaka. W niedzielę jest czas na treningowy „rest”, czyli odpoczynek, chyba że muszę nadrobić jakieś zaległości z tygodnia. Wszystkie moje działania, poza sprawami rodzinnymi i domowymi, koncentruję na realizacji projektu.

Zgodnie z zasadą Steva Jobsa, wreszcie robię to, co kocham. I czekam już na ten szczęśliwy dzień, kiedy wynurzę się z mojej „gawry” i zacznę zarabiać konkretne pieniądze na realizację projektu. Bowiem on już dawno przestał być pasją. To jest moja misja i nowa profesja. To jest mój imperatyw!

Mam nadzieję, że zainspiruję kogoś, podając w skrócie to, co zrobiłam w ciągu ostatnich trzech miesięcy, a co uważam za najważniejsze osiągnięcia zawodowe w 2018 roku:

Praca w myśl zasady „Rób to, co kochasz”.

„Home office 4×3”.

Folder promujący projekt „200 Szczytów Świata” – 25 stron tekstu, kolorowych ilustracji i tabel w formacie A5, w języku polskim.

Folder w wersji angielskiej – w trakcie przygotowania.

Etap 3. projektu. Piki Ameryki – opracowanie tras dojazdu i dróg wejścia na 32 szczyty w obu Amerykach – co wymagało ogromnej pracy przez wiele tygodni!

Samodzielna nauka języka hiszpańskiego – poziom podstawowy.

Trening na powietrzu: 5x w tygodniu po 1,5 godziny – bieg, siłownia, rower.

Trening na powietrzu: 1x weekendowo, od 3 do 7 godzin – długi bieg lub siłownia podwójnie, lub 40-60 kilometrów

rowerem.

Zastosowanie w praktyce „7 zasad sukcesu Steva Jobsa”.

Zmiana diety na białkowo-węglowodanową.

Naturalna utrata 5,4 kilograma wagi w ciągu dwóch miesięcy – dzięki tej diecie.

Notowanie czasu operacyjnego pracy i treningu – z odliczaniem nawet kilkuminutowych przerw.

Podsumowaniem tego był test na mój wiek biologiczny (35 lat), który trochę różni się od wieku metrykalnego.

Okrągłe rocznice – 5,10,18

W 2018 roku zbiegły się w czasie trzy okrągłe rocznie: 5, 10 i 18 lat w górach. Od pięciu lat realizuję autorski projekt „200 Szczytów Świata”, którego jestem pomysłodawcą i liderem. W tym czasie zdobyłam kolejne 31 wierzchołków do wcześniejszej kolekcji, co w sumie dało 50 zdobytych szczytów. Natomiast już od 10 lat organizuję samotne wyprawy i podróże w góry Europy, Azji i Afryki. W tym czasie pokonałam autostopem w pojedynkę ponad 64 000 kilometrów, a najdalej dotarłam do Chin… przez

siedem muzułmańskich krajów. „Na stopa” odwiedziłam wszystkie państwa europejskie i zdobyłam ich najwyższe szczyty, oprócz wzgórza w Białorusi. Samotnie i w mini rakach weszłam na **Mont Blanc (4810 m)**. Sama lub z ludźmi poznanymi na trasie zdobyłam następujące szczyty w Azji: **Ararat (5137 m)** i **Erciyes Dagi (3916 m)** w Turcji, **Demavend (5610 m)** w Iranie, **Mount Urtabuz (5047 m)** w Tadżykistanie i **Pik Rozdzielenia (6148 m)** w Kirgistanie. Na tej ostatniej górze przeżyłam burzę śnieżną, huraganowy wiatr wiejący ponad 100 kilometrów na godzinę, przy odczuwalnej temperaturze od -45 do -50 stopni Celsjusza. Skakałam samotnie i bez asekuracji przez szczeliny lodowcowe na wysokości 5000-6000 metrów n.p.m., tylko w rakach i z jednym czekanem. A kiedy skończyły mi się góry lądowe w Europie, to poleciałam tanimi liniami na okoliczne wyspy.

W ciągu tych dziesięciu lat wypracowałam własny, minimalistyczny styl podróżowania. Autostop jest dla mnie najtańszym środkiem transportu. Codziennie dźwigam „mój dom na plecach”. Czasami tam jeszcze upcham czekan, raki, pętle, karabinki osobiste i śrubę lodową, bo na inny sprzęt wspinaczkowy nie ma już miejsca. Mogę więc powiedzieć, że po tylu latach stworzyłam nowy model zdobywania gór, jako alpinistka podróżująca autostopem w góry świata.

Na moje dotychczasowe osiągnięcia składa się 18 lat wspinaczki

skalnej, lodowej, lodowcowej, mikstowej oraz alpinizmu i wspinania w górach wysokich. Najpierw przeszłam kurs wspinaczkowy we Wrocławskim Klubie Wysokogórskim, a potem wspinałam się kolejno w Górach Sokolich, Tatrach, Alpach, Kaukazie, Andach, w lodospadach Słowackiego Raju i austriackiego Maltatalu, w Pamirze, Karakorum, w wielu europejskich górach, a ostatnio też w Afryce.

Początkowo wspinałam się rodzinnie – z mężem, siostrą i szwagrem, potem zespołowo lub z ludźmi przypadkowo spotkanymi w górach, a w końcu samotnie, czasami „na żywca" – w nieznanym terenie i bez asekuracji. O wyborze solowego sposobu zdobywania gór zadecydował los. Niestety, mój mąż zginął w czasie wspinaczki, gdy nasza córka miała dwa latka. Dopiero po dziewięciu latach wyszłam z traumy i wróciłam do wspinania zespołowego. A w 2008 roku zorganizowałam pierwszą samotną wyprawę na Ararat. I to był początek nowych ekspedycji, w których połączyłam trzy pasje: zdobywanie gór, odkrywanie świata i poznawanie ludzi.

Tabela ważniejszych gór zdobytych przez Annę Borecką

w projekcie „200 Szczytów Świata"

Lp.	Rok	Państwo	Szczyt / Punkt	Wysokość m n.p.m.	Wejście na szczyt
50	2018	Lichtenstein	**Grauspitz**	2 599	samotnie
49	2018	Cabo Verde	**Pico do Fogo**	2 829	samotnie
48	2018	Portugalia, Azory	**Pico**	2 351	samotnie
47	2018	Irlandia	**Carrantuohill**	1 138	samotnie
46	2017	Maroko	**Jebel Toubkal**	4 167	mikst*
45	2017	Islandia	**Hvannadalshnúkur**	2 110	samotnie
34	2015	Hiszpania, Wyspy Kanaryjskie	**Pico del Teide**	3 718	2x: w grupie*, samotnie
31	2015	Grecja	**Mytikas**	2 917	samotnie
30	2015	Kosowo	**Djeravica**	2 656	samotnie
24	2015	Szwajcaria	**Dufourspitze**	4 634	w duecie*
19	2013	Francja i Włochy	**Mont Blanc, Mont Blanc de Courmayer**	4 810 4 748	samotnie i w mini-rakach
13	2009	Iran	**Demawend**	5 610	w grupie*
12	2008	Turcja	**Ararat**	5 137	w duecie*
8	2003	Argentyna	**Aconcagua**	6 961	w grupie
7	2002	Rosja	**Elbrus**	5 643	w grupie
2	1992	Słowacja	**Gerlach**	2 655	w grupie
1	1988	Polska	**Rysy**	2 499	w grupie, 3x

Lp. *– liczba przypisana do wybranych szczytów, według kolejności ich zdobycia;* ***mikst**** *– tu: część drogi przebytej samotnie, a część w grupie napotkanych osób;* ***w grupie**** *lub w* ***duecie**** *– wejście na szczyt z osobami poznanymi już na trasie.*

Ludzie tacy sami jak my

Kiedy poczuję zew, to chcąc nie chcąc, zaczynam gromadzić informacje i przygotowywać kolejny wyjazd. Pomimo tego, że sama organizuję górskie wyprawy, to potrzebuję porady, pomocy i psychicznego wsparcia bliskich osób.

I w tym od lat wspierają mnie moje wspaniałe dzieci, Kalinka i

Kuba Kościelniak, czyli córka i zięć. To oni rezerwują mi tanie loty, robią korektę moich tekstów i grafiki, czynnie uczestniczą w pokazach slajdów, dbając o sprawy organizacyjne i dokumentację fotograficzną. Oboje uczą mnie nowinek wirtualnych i elektronicznych. I dodają mi odwagi w SMS-ach, gdy w górach lub gdzieś w świecie jest naprawdę ciężko. I za to wszystko jestem im bardzo wdzięczna. Nawet wtedy, gdy słyszę krótki komentarz z uśmiechem na temat mojego kolejnego pomysłu: „No, matka – wariatka!"

Od kilku lat mogę też liczyć na pomoc „Księgarni Podróżnika" z Wrocławia, a to za sprawą wspaniałej właścicielki księgarni, Doroty Puchały i świetnej Załogi, za co im bardzo dziękuję. Księgarnia zaopatruje mnie w mapy potrzebne na kolejną wyprawę i organizuje moje wystąpienia publiczne na Międzynarodowych Targach Turystycznych we Wrocławiu. A ja wnoszę flagę z pięknym logo „Księgarni Podróżnika" na zdobyte szczyty i polecam znajomym praktyczne mapy i przewodniki. W swoich tekstach i prezentacjach piszę, mówię i zamieszczam zdjęcia z małym ludzikiem idącym przez świat, który jest symbolem księgarni oraz wszystkich Ludzi Wędrownych.

Wśród osób zaprzyjaźnionych, wspomagających od lat moje górskie i artystyczne projekty, jest także Ryszard Sawicki (autor „Culture Avenue" przyp. red.), wrocławski artysta – malarz, poeta, pisarz, tłumacz języka angielskiego i podróżnik. Ryszard

wiele razy wspierał moje plany dobrą radą, kontaktami z ciekawymi ludźmi, wspólną korektą i tłumaczeniem tekstów. Pomógł mi w organizacji wiz do Iranu i Chin – które okazały się kluczowe w podróży autostopem przez pół Azji.

Wiele osób w Polsce i innych krajach, w różny sposób przyczyniło się do rozwoju projektu. Były to zazwyczaj jednorazowe akcje, ale wszystkie mile wspominam i zawsze pamiętam o tych osobach. Byli to bliscy znajomi z Wrocławia i okolic oraz nowi znajomi z Europy i Azji: kierowcy na autostopie, tubylcy w podgórskich wioskach i większych miastach, turyści i alpiniści poznani w górach, partnerzy wspinaczkowi; a także dyrektorzy i pracownicy uczelni, szkół, bibliotek, centrum kultury, klubów, festiwali i różnych zlotów, którzy zapraszali mnie na autorskie prezentacje (łącznie już 37). Byli też właściciele kilku firm, w różny sposób wspomagający projekt oraz pracownicy różnych mediów, (telewizja, prasa, radio, Internet), którzy publikowali informacje na temat projektu lub moich górskich osiągnięć. Dziękuję wszystkim bardzo serdecznie.

Polska

Ewa Skut, Grzegorz Basista, Mateusz Bury, Emil Botkiewicz, Adam Nowicki, Krzysztof Dania, Krystyna i Dariusz Bodkowie, Łukasz Lubelski, Anna Hardy, Monika Rajter, Agnieszka i Lech Jaroszowie, Maria i Leszek Sawiccy, Joanna Piotrowicz, Anna

Szczęsna, Lucjan Chreściak, Dariusz Pega, o. Janusz Potok z misji w Kazachstanie, pracownicy polskiej ambasady w Iranie, Mirosława Walaszkowska, Sylwia Krupiczowicz, Krystyna i Robert Drelichowie oraz rodzice, Wanda i Czesław Boreccy – którzy w końcu zaakceptowali mój styl życia.

Świat

Lidia z mężem z Mołdawii, Marcia Araujo z Portugalii, Päivi i Hakan ze Szwecji, Marius i Roma z Litwy, Rudite Goba i Inta Pētersone z mężem – z Łotwy, Andrea z kolegami – z Włoch, Puiu Nichiforiuc z Rumunii, Miroslav Radošovský ze Słowacji – z kolegami z Norwegii, Linda i Jocke Nygård z Finlandii, Jonas Hansell ze Szwecji, Denis Spahija, Jakup Isufi oraz rodzina Kaltriny z Kosowa, Michel Evers z Holandii, Zvezdana Paunovic z Serbii, Mariko z Japonii, a także Miss Fan z Chin, Sergiej Koliszew z Rosji, Muhammad z Uzbekistanu, Lionel Cervera z Hiszpanii, Maenseurreh, Mokhtar i Abbas z Iranu, Özgür Esen z Turcji, Dżingis z Afganistanu, Ivan Elentchev z rodziną i Katia z Bułgarii; oraz osoby poznane na autostopie: z Europy, Azji, Cabo Verde, Argentyny, Australii, Kanady, Kongo, Nikaragui, Nowej Zelandii i USA.

Podziękowania dla kilku instytucji

„Księgarnia Podróżnika”, “Studio PLAN Grzegorz Zwoliński”,

„Międzynarodowe Targi Turystyki – Wrocław, „Gazeta Wyborcza”, „Alhena” Zakład Mechaniczny, „OPAL TRAVEL Biuro Podróży”, „SERVAS POLAND”, „Góry i Alpinizm – Szkoła Wspinania Aśki Piotrowicz”, Sklep turystyczny „Skalnik” i DKF „Politechnika”.

W 2018 roku, do grona Przyjaciół Projektu dołączyły nowe osoby, z którymi nawiązałam serdeczne relacje. Są to: Zbigniew Lubicz – Miszewski, Rafał Just, Iwona Góra, Elżbieta Ciążeńska, Cecylia Śmieszkowska, Sebastian Węgrzynowski, Izabela Kula, Mariola Sufa, Joanna Biały, Krzysztof Krysta, Grzegorz i Piotr Zwoliński, John Marjot, Mickey Opacic i Michael Kenneth Herbert z Wielkiej Brytanii, Sue z USA, Aine O Malley z mamą oraz Barra Ó Briain z Irlandii.



Rowerzyści poznani na autostopie w Irlandii, od lewej Michael Kenneth Herbert – Australijczyk, Sue – Amerykanka, Mickey Opacic – Chorwat, fot. Anna Borecka.

W każdym kraju spotykam ludzi o otwartych sercach, niebojących się obcego przybysza. To dzięki nim zrodziła się **idea ludzi takich samych jak my,** która stała się już misją projektu, z którą przemierzam obce kraje, i o której opowiadam w książkach, na prezentacjach i prywatnych spotkaniach:

Ludzie na całym świecie są tacy sami jak my.

Mają podobne problemy i marzenia.

Różnią się tylko miejscem urodzenia.

Wszędzie ludzie są tacy jak my, bo mają dwie ręce, dwie nogi i

dwie półkule mózgowe, a więc kierują się logiką i intuicją. Szybko więc wyczuwają, czy ktoś jest im przyjazny i życzliwy, czy nie, i odpowiednio reagują. W każdym z nas jest naturalny pierwiastek piękna i dobra, z którym przychodzimy na świat, a o czym często zapominamy w dorosłym życiu. I wtedy boimy się świata, obcych ludzi, a czasem i siebie. Tak więc podróże w nieznane pomagają przełamywać różne bariery w nas samych.

Etap 3. Piki Ameryki

Miniony rok obfitował w ciekawe wydarzenia i znajomości, kilka osiągnięć i znaczących dat, podsumowujących mój górski dorobek. Jednak nie było miejsca na świętowanie, bo był to czas ciężkiej pracy. Miały też miejsce smutne sprawy rodzinne i tragiczne wydarzenie. Niestety! Codzienność dostarcza wielu bolesnych doświadczeń. Czasami powoduje to, że możemy docenić to co mamy, a przede wszystkim kto jest dla nas ważny. Osobiście uważam, że najważniejsze jest zdrowie i szczęście bliskich osób, bo z własnymi sprawami to jakoś sobie radzę.

W ostatnim czasie zrobiłam sporo dla rozwoju projektu, ale to dopiero początek góry lodowej oraz szczytów schowanych w tropikalnej dżungli. Tak właśnie wygląda trzeci etap projektu, pt. **„32 Piki Ameryki”**, w którego skład wchodzą najwyższe góry od Meksyku po Panamę, przez Karaiby i Kolumbię, przez

andyjskie 6-tysięczniki aż do niewielkiego wzgórza w Urugwaju. Dlatego moim kolejnym celem jest promocja projektu i pozyskanie środków przez własne publikacje, poznanie pasjonatów i pomocnych ludzi na świecie, którym bliskie są sprawy górskie, podróżnicze, publicystyczne i artystyczne. Którzy mogą udzielić dobrej rady, pomogą zorganizować spotkanie z publicznością, wydanie serii artykułów lub książki w języku angielskim. A ja będę o nich pisać w książkach i opowiadać w czasie prelekcji. Mogę też wnieść flagę z logo firmowym na kolejny górski szczyt. Sposobów na współpracę jest wiele, jeśli znajdziemy wspólne tematy i odkryjemy w sobie bratnie dusze.

Marzenia najpiękniej rozkwitają na wiosną, lecz pielęgnować trzeba je przez cały rok, żeby zawsze pięły się do góry.



Po prezentacji w Trzebnicy, od lewej Irena Prostak, Zbigniew Lubicz-Miszewski, Anna Borecka, Cecylia Śmieszkowska, fot. Sebastian Węgrzynowski.

Ważne wydarzenia publicystyczne

W 2018 roku miałam kilkanaście wystąpień publicznych, w tym osiem autorskich prezentacji. W lutym, dla czytelników Biblioteki Miejskiej w Cieszynie, poprowadziłam nową prelekcję z pokazem zdjęć. Byłam oczarowana wyjątkową atmosferą i ciepłym przyjęciem publiczności oraz profesjonalną organizacją wydarzenia przez dyrekcję i pracowników placówki. Po prezentacji zatytułowanej **„200 Szczytów Świata – jak realizować wielki projekt małym kosztem”**, podpisywałam dwa tomy „Alpinistki na autostopie”. Wielką niespodziankę sprawił mi pan, który na zdjęciu w mojej książce rozpoznał osobę

z Bułgarii. Okazało się, że Katia rozmawiała z nim o moim pobycie w górach Riła, w 2008 roku, kiedy ten pan jeszcze mnie nie znał. Następnego dnia rano miałam prezentację w tej samej bibliotece, tym razem dla młodzieży z kilku szkół. A wieczorem odwiedziłam Miejską Bibliotekę Publiczną im. Jana Wantuły w Ustroniu.Tam również byłam ciepło przyjęta i poczułam rodzinną atmosferę w czasie spotkania z publicznością.

W lutym, na Międzynarodowych Targach Turystycznych we Wrocławiu, miałam kolejną prezentację o projekcie „200 Szczytów Świata" – dla około dwustu osób. Zaproszenie na targi otrzymałam od „Księgarni Podróżnika" i „Studia PLAN" z Wrocławia. Na ich stoisku podpisywałam też książki: **„Alpinistka na autostopie. Tom 1. Przez Karpaty na Ararat" (2015),** ,**„Alpinistka na autostopie. Tom 2. Z Polski do Chin" (2016) i „Alpinizm – życie na haju" (2006)**, książka wydana nakładem autora.

Była to również okazja do spotkania wielu znajomych i poznania nowych, ciekawych osób. Następnego dnia targów, już w kameralnym gronie, poprowadziłam warsztaty pt. **„Jebel Toubkal (4167 m n.p.m.) – jak z bagażem podręcznym zdobyć czterotysięcznik w Afryce"**.



Publiczność w czasie prezentacji Anny Boreckiej na MTT Wrocław, fot. Piotr Zwoliński.

W marcu odwiedziłam Autorskie Licea Artystyczne i Akademickie we Wrocławiu, gdzie po prelekcji młodzież zadawała mi sporo ciekawych pytań. W kwietniu miałam prezentację w Szkole Podstawowej nr 84 we Wrocławiu, w ramach cyklu spotkań **„Podróże na kraniec świata”**. Przez Panią Pedagog zostałam powitana żytnim chlebem na zakwasie z jej własnego wypieku. Prezentacja została zakończona konkursem wśród młodzieży, którego nagrodą była moja książka.

W maju poprowadziłam prelekcję „200 Szczytów Świata”, w Powiatowym Ośrodku Doradztwa Metodyczno-Programowego w Trzebnicy, podczas XV Ogólnopolskiego Tygodnia

Bibliotek.Następnie, w ramach relaksu, razem z Dyrektorką Ośrodka, weszłam na Winną Górę (219 m n.p.m.), znajdującą się w mieście.

Wszystkie moje prezentacje, dla dorosłych, młodzieży i dzieci, przebiegały w miłej atmosferze i cieszyły się dużym zainteresowaniem. Żeby szczegółowo o tym opowiedzieć, musiałabym napisać kolejny artykuł.

W międzyczasie udzieliłam wywiadu dla Gazety Wyborczej, pt. **„Autostopem na 200 szczytów świata”**. Tekst ukazał się w papierowej wersji Magazynu Wrocław – Rok Kobiet. Został też opublikowany online – z większą liczbą fotografii mojego autorstwa – na wyborcza.pl, tym razem pod tytułem **„Wrocławianka samotnie zdobywa 200 szczytów świata. Dociera do nich autostopem”**. Jest to głównie wywiad o tematyce podróżniczej, z pominięciem aspektu górskiego i wspinaczkowego. W związku z dalszą realizacją projektu „200 Szczytów Świata”, podjęłam decyzję o publikacji kolejnych artykułów o moich osiągnięciach. Cieszy mnie, że inspiruję górskich pasjonatów do wyjścia poza granice Europy i sięganie po kolejne szczyty na całym świecie.



Strażnik szlaku na Carrantuohill, Irlandia 2018, fot. Anna Borecka.

Anna Borecka – oficjalnie lider projektu „200 Szczytów Świata”, a prywatnie rogata dusza.

Linki:

https://ksiegarnia.bernardinum.com.pl/pl/p/Alpinistka-na-autostopie-Tom-I.-Przez-Karpaty-na-Ararat-Alpinistka-na-autostopie-Tom-2-Z-Polski-do-Chin/937

http://www.mttwroclaw.pl/2018/02/04/779/

http://wroclaw.wyborcza.pl/wroclaw/7,142076,23326930,autostopem-na-200-szczytow-swiata.html.

Nie uznaję kompromisów w sztuce



Grażyna Auguścik, fot. Magda Marczewska.

Bożena U. Zaremba:

Co Panią fascynuje w muzyce ludowej?

Grażyna Auguścik:

Prawda. Poza tym, jest to część naszej tożsamości. Chopin jest najlepszym przykładem, jak można wynieść tę muzykę na inny poziom. Inspiracje z niej czerpali inni kompozytorzy klasyczni, ale osobiście uważam, że w Polsce muzyka ludowa została zepchnięta na margines kultury, a przeciętny rodak niewiele zna ze swojej rodzimej tradycji. Muzyka ludowa pojawiła się w ostatnich latach dość agresywnie w muzyce popularnej, bo takie

są tendencje na świecie. Moda dyktuje nam to czego mamy słuchać, jak wyglądać. Ja natomiast, fascynację muzyką ludową mam w genach. Dziadkowie, rodzice grali i śpiewali. Czuję tę ludową „nutę" i myślę, że słychać ją również, czy chcę czy nie chcę, w tym co i jak śpiewam.

A inne inspiracje?

Czerpię z muzyki ludowej całego świata – brazylijskiej, arabskiej, afrykańskiej, bałkańskiej, i śpiewam to, co jest bliskie mojej stylistyce, to co czuję.

Ale jest Pani wokalistką jazzową. Gdzie jest w takim razie miejsce na jazz?

Dla mnie muzyka nie ma granic. Muzyka ludowa to moje korzenie, to natura, której jestem częścią. Co z tym zrobimy, do jakiego typu muzyki potem zaklasyfikujemy, to już naprawdę nie ma znaczenia, to są tylko nazwy. Śpiewam dużo *scatem*, czyli bez tekstu, improwizuję na podstawie określonego tematu. Lubię ten element improwizacji, który jest najistotniejszym składnikiem jazzu.

Czy czerpanie z polskiej muzyki ludowej może być sposobem na wybicie się polskich jazzmanów w świecie?

Myślę, że oryginalność i „inność” mają zawsze większą szansę być zauważonymi. Świat muzyczny jest ogromny, muzycy coraz młodsi i lepsi. Przepływ informacji – nieograniczony i niemal natychmiastowy. W tej ogromnej masie łatwiej jest zauważyć coś innego. Dlaczego więc nie spróbować wykorzystać tego, co naszej duszy najbliższe? Ale każdy jest inny i nie każdy lubi muzykę ludową. Nie potrafię odpowiedzieć czy folklor rodzimy jest receptą na sukces światowy.

Czy właśnie ta odmienność spowodowała, że Pani zaistniała na rynku amerykańskim?

Możliwe. Myślę, że wypracowałam własny styl, własny język, śpiewam po swojemu.

Zaczynała Pani od piosenki. Co skłoniło Panią do pójścia w stronę jazzu?

Piosenka to była jedyna droga dla amatora, żeby na różnego typu konkursach zaprezentować swoje umiejętności. Piosenka nigdy nie była moją mocną stroną i tak naprawdę zaistniałam w świecie zawodowym śpiewając muzykę jazzową. Skazałam siebie od początku na tzw. *underground*, bo jazz jest muzyką niszową. Dzięki temu jednak mam wolność artystyczną. Tworzę, przetwarzam to co chcę, jak chcę, jestem bardzo otwarta na każdą, dobrą muzykę. Możliwość tworzenia jest dla mnie

radością i terapią.



Grażyna Auguścik w Chicago, fot. Magda Marczewska.

Howard Reich z „Chicago Tribune” napisał, że Pani „nie jest jedynie wokalistką, ale muzykiem, który widzi cel w każdej nucie, którą śpiewa”. Kiedy mówimy „muzyk” myślimy „instrumentalista”, w najlepszym wypadku „dyrygent”, ale o wokaliście się tak nie mówi (chyba, że jest równocześnie instrumentalistą). Jaka jest, więc różnica między „tylko wokalistą” a „muzykiem”? Gdzie leży granica?

Głos to najdoskonalszy instrument, również o ogromnych możliwościach. Rzecz w tym, żeby wydobyć z niego te możliwości. Używam głosu nie tylko do interpretacji tekstu, ale, śpiewając *scatem*, również do improwizacji – traktuję go instrumentalnie. To prawdziwa przyjemność opowiadać własnym językiem.

Jest tam wiele wokalnej ekwilibrystyki, ale też dużo liryki, zwłaszcza w wolnych tempach, gdzie używa Pani często niestandardowych sylab. Czasem brzmi to jak jakiś egzotyczny dialekt…

Słuchanie innych instrumentów napewno ma wpływ na tworzenie własnych środków wyrazu, własnego brzmienia. Podczas śpiewania *scatem* często używam wiele niezrozumiałych przez nikogo sylab. Sama nie wiem jak to robię, to dzieje się spontanicznie. Improwizacja oparta jest na emocjach, które niesie muzyka. Tym łatwiej jest wykreować na tej bazie coś co może brzmieć niecodziennie, egzotycznie, a nawet tajemniczo.

Pani improwizacje nie są koniecznie solówkami, ale często współgrają i współbrzmią z innym instrumentem, jak w wokalizie z utworu, „Czemu żeś mnie matuleńko” – to jest taka „gonitwa” z akordeonem.

Tak, to też bardzo lubię. To są częściowo zaaranżowane solówki,

gdzie wykorzystuje się współbrzmienie głosu i danego instrumentu, i kreuje jeszcze inny kolor. Muzyka jest bardzo kolorowa, a to dzięki właśnie różnym brzmieniom i współbrzmieniom.

Czy Pani sama aranżuje utwory?

W większości to są moje pomysły. Preferuję tzw. koncepcje grania „otwartego" w zespole, czyli daję muzykom swobodę we wspólnym graniu, dlatego również wiele pomysłów aranżacyjnych powstaje we współpracy z nimi. Każdy koncert jest inny. I właśnie o to mi chodzi. Muzyków dobieram starannie. Nie pracuje z przypadkowymi instrumentalistami.

Przywiązuje Pani dużą wagę do brzmienia. Tomasz Stańko powiedział kiedyś, że brzmienie instrumentu jest odzwierciedleniem życia. Czy zgadza się Pani z tym?

Absolutnie. Opowiadamy swoje życie muzyką. A dobre brzmienie pomaga nam te historie opowiedzieć tak, żeby publiczność czekała na ciąg dalszy.

Zamieszkała Pani na stałe w Chicago. Czy tradycje jazzowe tego miasta miały na to jakiś wpływ?

Po skończeniu *Berklee College of Music* w Bostonie, wielu moich

kolegów wyjechało do Nowego Jorku – stolicy sztuki i inspiracji, ale także ciężkiego życia dla artystów. Byłam zmęczona szkołą, a prawdopodobnie na początku swojego pobytu w Nowym Jorku byłabym skazana na pracę inną niż tylko muzyka. Szkoda mi było na to czasu, dlatego zdecydowałam się przyjechać do Chicago, które znałam z wcześniejszych wypraw. Chicago to wielkie środowisko, mieszka tu mnóstwo wspaniałych muzyków; to miasto z ogromnymi tradycjami muzycznymi jak blues, jazz, awangarda jazzowa; to wreszcie wieloetniczne miasto, a więc możliwość współpracy z muzykami z rożnych części świata. Poza tym jak się wie co się chce robić, można mieszkać wszędzie.

Jest Pani związana z klubem jazzowym Green Mill, uważanym za jeden z najlepszych na świecie…

Tak, a przy tym ma prawie 100 lat, a tradycje muzyczne sięgają jeszcze czasów kina niemego. Ma swoją burzliwą historię związaną między innymi z jej współwłaścicielem Al Capone. Dziś klub pozostał w niezmienionym wnętrzu, ma świetne brzmienie, swoje gwiazdy (Patricia Barber czy Kurt Elling przez wiele lat tu koncertowali), ma swoją wspaniałą publiczność i fantastycznego właściciela Davida Jemilo, w żyłach którego płynie również polska krew. Od mojego pierwszego koncertu, który miał miejsce [w 1989 r.], jestem częścią rodziny Green Milla.

Czy gdyby Pani została w Polsce śpiewałaby Pani inaczej?

Myślę, że nie miałabym takiej możliwości poznania i współpracy z tak dużą ilością różnorodnych muzyków. Polska ma oczywiście możliwość obserwacji tego, co dzieje się na świecie i jest miejscem koncertów największych i mniejszych gwiazd estrady światowej. A ja wielu z nich mam na co dzień, mam możliwość wspólnych rozmów i współpracy z nimi, i to bez wielkich zabiegów.



Grażyna Auguścik, fot. Marta Ignatowicz, www.martaignatowicz.com

Proszę powiedzieć jeszcze coś o swoim wydawnictwie płytowym.

Swoją niezależną działalność zaczęłam [w 1997 r.] Próbowałam zainteresować swoją muzyką różne wydawnictwa, ale szybko zorientowałam się, że to wszystko rządzi się albo przypadkiem albo koneksjami. Na przypadki nie liczę, koneksji brak, więc założyłam własną firmę i sama wydaję, promuję, załatwiam koncerty. Jest to zdecydowanie wielki pożeracz czasu i źródło mojej wiecznej frustracji, bo zostaje mało czasu na muzykę. Realizuję swoje projekty z muzyką, którą czuję, mam zupełną wolność i to daje mi napęd do życia. Nie uznaję kompromisów w sztuce, chociaż jest to trudne i ryzykowne, ale się opłaca. Myślę, że to co robię wymaga dużej odwagi. Jestem Polką w Stanach, mam trudne nazwisko do wymówienia, śpiewam jazz, więc muszę być na tzw. „froncie", zapewnić wszystkim pracę, muszę to wszystko oprawić i sprzedać. Nie lubię wywiadów [*śmiech*], bo często zadają mi kłopotliwe pytania, dotyczące mojej prywatności.

Ja nie pytam [*śmiech*].

My rozmawiamy o rzeczach przyjemnych. Ale tak naprawdę, muzyka wypełnia całe moje życie i właśnie to jest najbardziej intymna jego strona.

Od 22 lutego do 1 marca 2019 r. trwać będzie już trzecia edycja organizowanego przez Grażynę Auguścik Festiwalu „Chopin in the City". Wszystkich zainteresowanych zapraszamy do Chicago.

Redakcja

http://soundsandnotes.org/

Fotografie pochodzą ze strony artystki: www.grazynaauguscik.com

Pełna wersja wywiadu ukazała się w 23 lutego 2007 r. w „Przeglądzie Polskim", dodatku kulturalnym „Nowego Dziennika": www.dziennik.com.

Angielska wersja wywiadu – na stronie Chopin Society of Atlanta:

http://www.chopinatlanta.org/past.html.